



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Nr 48 (296) Rok VI

W STULECIE ZGONU ADAMA MICKIEWICZA

KAZIMIERZ WYKA

Prawo żyjących

Z nekrologu Adama Mickiewicza zamieszczonego w „Demokracji Polskiej” przez St. Worcella.

W lutym 1855 roku zmarł niespodziewanie tajemniczą śmiercią car Mikołaj I, zdrowy i silny mężczyzna; podejrzewano, że otrął się, że odebrał sobie życie na skutek niepowodzeń wojennych. Dowiedział się się o jego śmierci Hercen oświadczył: „bielmo jest zdjęte z oczu ludzkości”. Śmierć cara otwierała jak gdyby nową epokę. Sytuacja, w jakiej znalazło się imperium, była krytyczna, świadczą o tym najlepiej słowa przyjaciela Hercena, Granowskiego: „Smutno jest patrzeć na obecne położenie Rosji. Ten wielki kraj, jeszcze niedawno stojący u szczytu sławy i potęgi, w ciągu dwóch lat doprowadzony został do tak żałostnego stanu. Otoczony jest wrogami, na czele jego stoi tępy, samowładny i ciemny rząd; naród wpadł w przygnębienie, nie ma już wiary i patriotycznego entuzjazmu. Czyż można żywić ów patriotyzm — zapytuje autor — kiedy się trzeba lekka powódzenia oręża rosyjskiego z obawy o to, aby to nie dodało rządowi jeszcze więcej siły i pewności siebie?”. W tym też czasie jeden z oficerów rosyjskich, przebywający na Krymie, dokąd przbył znad Dunaju, notuje w swym pamiętniku: „Dajże zawsze czynnie do celów wyższych, a wszystkie swoje czyny rozważać ze stanowiska pozytywnej oceny dla takich tylko czynów, które zmierzają do celów wyższych”. Pismo to mężczyzna dojrzały, dla którego obłożenie Sewastopola staje się do-

Codziennie pisma przynosiły na pierwszych stronach wiadomości z placu boju. Nic więc dziwnego, że wojna na Wschodzie przykuwała uwagę Mickiewicza. Troski rodzinne jednak zmusiły go do żywego zajęcia się domem. Umierała Celi-
na. Siedział przy jej łóżku, wpa-
trywał się w nią, jak gdyby pra-
gął odnaleźć czas, który minął.
Chora w niczym nie przypominała
tej młodej dziewczyny o marzących
oczach, która pojawiła się na jego
żądanie w Paryżu. Twarz jej wy-
chudła, włosy na tle pościeli wy-
dawały się czarniejsze niż zazwy-
czaj. Nie była to lekka śmierć, cho-
ra zrywała się z łóżka, krzyk jej
niósł się przez pokoje, w których
truchlały strwożone dzieci. Najstar-
sza, Marynia, trzymała matkę za
wychudłą dłoń, Adam przgarbio-
nie zaciągał się w milczeniu fajką.

I on już nie był takim jakim go pamiętała. Twarz miała bladą, zękaną, która w otoczeniu siwych, długich, w niezładzie rozrzuconych włosów wydawała się o wiele starszą, aniżeli mówił wiek poety*). 5 marca 1855 r. Adam skreślił nerwowym, pośpiesznym piśmem parę słów po francusku do Wierzy Chłustin, w których donosił, że ma nadzieję, aby stan Celiny mógł się poprawić. Tego dnia nastąpił koniec. Umierająca straciła mowę, patrzyła jednak na męża przenikliwym spojrzeniem. W twarzy jej nie było cierpienia. Śmierć stawała się dla niej wybawieniem od wszelkich trosk, gdyż życie miała niełatwe. „Te ostatnie chwile jej — pisał Mickiewicz do Konstancji Żubińskiej — wytłumaczyły po części zagadkę tyłu lat bolesnych. Można powiedzieć, że w chwilach tych rozłąki połączyliśmy się po raz pierwszy. Jakoż przyrzekła mi, że będzie duchem mnie pomagać i być ze mną. Czemuż tego nie było za życia?” Któż mógł lepiej odpowiedzieć na to pytanie jak nie on sam? Nie było między nimi miłości, a co gorsza — nie było wzajemnego zrozumienia, ich związek skojarzył nieoczekiwany blysk myśli Adama, któremu przypomniała się nagle córka pięknej Marii Szymanowskiej, pianistki i kompozytorki szeroko znanej. Wychowana w cie-

*1 Według relacji Waleriana Mrowińskiego.

niu wielkiej matki, egzaltowana a zarazem skromna i nieśmiała, żyła po jej śmierci na łasce krewnych ogłoszona pierwszym ciosem, jaki zgłotowało jej życie — odejściem narzeczonego. Przybyła bez wahania do Paryża; mężczyzna, który ją powitał, był może kiedyś jej dziewczęcym ideałem, teraz zgorszkała, ponury, surowy dla siebie i innych miał już za sobą najlepsze lata. Z brutalną szczerością odstąpił przed nią całą swoją męską przeszłość; takie postawienie sprawy może mieć miejsce tylko między bliskimi sobie i dojrzałymi ludźmi. Czy Celina była na to przygotowana? Czy to

wszystko nie tłumaczy po części zagadki tych lat?

Wiemy tylko, że były to lata bolesne.

I teraz zostawał sam. A przecież był ojcem licznej rodziny. Marynia miała już dwudziesty rok, Władysław siedemnasty, reszta młodzieży uczyla się po szkołach. Pięcioletniego Józia wzięli na wychowanie Falkenhagen-Zalescy. Do mem opiewała się Zofia Szymanowska, kuzynka żony, do której Adam był raczej uposobiony niechętnie. W listach z tego okresu skarżył się na bezsenność, przez

(Dokończenie na str. 6)



Konstantynopol, 26 listopada 1855 — Maska pośmiertna.
Ze zbiorów Muzeum Adama Mickiewicza

CHLEB

rozmnożony.

1955 r.

PŁONĄCY ŚNIEG

Że pierzchał urok arcydziela

Śnieg od nich płonął. Był gorący.

prawdę dostrzec, niechaj będzie wolno naruszyć jego porządek i kolejność w poemacie.

Grzędy rozcięte miedzą; na każdym przykopie
Stoją jakby na strazy w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone.
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć przecisnąć
A ich woń gasiennice i owad zabija. się zmija,

To właściwie nie opis. To zupełnie gospodarska, jak w rolniczych kalendarzach, informacja o pożytku z konopi w ramach ogrodu. Gdyby Kajetan Kozmian nie wiedział, że fragment ów pochodzi spod pióra romantycznego burzyciela młodych — mógłby go zużytkować w swoim „Ziemiaństwie polskim”.

Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi, i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, płacząc strąki w marchwi zielonej
warkoczu,
Wysmukły bób zwraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruzę,
Gdzieniegdzie otylego widać brzuch
narbuzę,
Który od swej łodygi aż w daleką
stronę
Wtoczył się jak gość między buraki
czerwone.

Ani śladu gospodarskiej informacji. Od pierwszego wersetu, reprezentującego sędziwą i łysą kapustę, po historię z harbuszem jako namiętnym gościem – całość opisu zostaje za tropomorfizowaną. Każda z ogrodowych roślin podobna jest do człowieka i jego postępków. Zwzamy jednocześnie, że nastąpiło to przy zupełnie niewiadze poety na rzeczywisty kalendarz ogrodowy: kapusta jest dojrziała, zawiązana w wielkie łby, a zatem jest to kapusia jasienna; równocześnie kwitnie bob, bo tylko do jego kwiatu – a biegnącego z czarną żenicą – a nie do strąków już dojrziałych odnosi się metafora o tysiącu oczu. Mieszą się pory roku:

Widać na grzędach, jaką przeleciała _____ droga
Bo liść zielony, w biegu potrącony noszą _____
Podnosił się, drzał chwilek, aż się _____ uspokoił
Jak woda, którą ptaszek skrzydłami _____ rozkroił
A na miejscu, gdzie stała, tykło _____ porzucony
Koszyki mały z rokity, denkiem _____ wypocony
Pogubiwszy owoce, na liściach zawisa _____
I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał _____
Pośrodku szła zielczynka w białzinie _____ ubrana
W majowej zieleniś tnąc po kłobanach _____
Z grząd zniżając się w bruzdy, zdała _____
Ale pływać po liściach, w ich barwie _____
_____ się kapać

Ani to antropomorficzne przetworzenie przyrody, ani tym więcej gospodarska informacja pod postacią opisu. Najtrudniejsze do pochwycenia i zapamiętania, przelotne i subtelne właściwości zjawisk opisywanych – koszyk chwiejący się wśród zieleni, zieleni przekrojona stopniową taflą wodną skrzydeł jaskółki – ściągają na siebie uwagę poety. A w obrazie Zosi wśród majowej zieleności nadaje on zjawiskom cechy zrozumiałe tylko podówczas, kiedy przyjął ich poezję: „wczesne powinowactwo („plywają po liściach“), kiedy rozłożyć je na pierwsze elementy („w ich barwie się kapać“).

Ten przykładowy dla metody artystycznej Mickiewicza jako poety o pisu fragment ukazuje zatem po trójny charakter jego opisowości. Kilka wierszy odległości sąsiadują ze sobą przestrzenienie poetyckie pochodzące z kalkiem innych ławd o pisowej tradycji. Bywa też u Mickiewicza, że nawet bez tej odległości stykają się one z sobą bezpośrednio. Oswojeni z tym faktem nie dostrzegamy go, a znajomość rzeczywiście warsztatu poetyckiego go twórcy wymaga, ażeby z tym oswojeniem zerwać.

Jakież to odmienne łady poetyckiego opisu?

2. „Sana Tadeusza” wypre-
dzono bezpośrednio przed
bepośrednio drugi szereg po-
matów o charakterze histo-
rycznym i opisowym oraz o chara-
terze komycznym i heroikomicznym.
Chociaż Mickiewicz przez swoje st-
dia o „Jagiellonidzie” i „Sofiow-
sarn wskazał, jak dużą wagę prze-
wiązywał do tej tradycji, mimo
nie została ona dostatecznie uwzględ-
niona w dotychczasowych bad-
niach. Pominęto milczenie tak-
tworcy, jak „Rolnictwo” D. B. T-
maszewskiego (1892), „Pułtawę” N-
kodemu Muśnickiego (1893), „Ga-
ję oswojonego” (1890), „Józefada-
” (1891), „Syna marmarowego” (1892),
Jędrzeja Świdzkiego i — „Rze-
Polskie” (1896) K. Jaxy-Marcinko-
skiego.

(Dalszy ciąg na str. 6)

STEFAN ARSKI

GENEWA 1955

Niedziela, 13 listopada

ostatnia niedziela „genewska”. Długa dwugodzinna rozmowa Dulles — Molotow. Określona potem jako „serdeczna”. Cała gama tematów: sytuacja na konferencji, sprawy Bliskiego i Dalekiego Wschodu, kwestia przyjęcia 18 państw do ONZ. Wyniki rozmów — niezane. Przypuszczenia krańcowo sprzeczne i nawzajem się wykluczające jak zwykle, kiedy dziennikarze zwłaszcza zachodni, próbują dojść czegoś z niczego. Nieco później rozmowa Dulles — Macmillan. Wsiadają w samochód i jadą na śniadanie do Neuvecelle, po tamtej stronie granicy francuskiej — przebieg rozmów również nie wiadomy, ale przynajmniej udało się korespondentom amerykańskim ustalić menu.

Uporczywa pogłoska, że zastanawiano się nad tym, czy w końcowym komunikacie konferencji wyznaczyć termin następnego spotkania czterech ministrów, czy pominąć tę sprawę. Wiadomo, że są na ten temat duże różnice zdań w łonie zachodniej trójki. Ostatecznie przeważać miał pogląd Dullesa, że lepiej rzecz przemilczeć.

Pinay bawi w Bonn. Oficjalny powód wizyty: omówienie sytuacji w Zagłębiu Saary po niefortunnym plebiscyście. Dobrze poinformowani korespondenci francuscy twierdzą jednak, że Pinay udał się do Adenauera, by zapoznać się z jego poglądem na przebieg obrad genewskich. Dziennikarze, którzy towarzyszyli Pinayowi opowiadają o „narodzinach” owego Wehrmachtu, które odbyły się w sobotę. Ceremonia powołania pierwszych stu jeden oficerów i żołnierzy odbyła się w garażu urzędu Blanka, pod wielką flagą ozdobioną złowym symbolem pruskiego militarysty — żelaznym krzyżem. Ironia losu chciała, że ze ściany garażu zapomniany usunął znak ostrzegawczy: „Uwaga: śmierć czyha”. To samo ostrzeżenie rozbrzmiewa z ław delegacji radzieckiej w Genewie od dwóch tygodni...

Poniedziałek, 14 listopada

Znowu rozmowy poufne, tym razem Molotow — Macmillan i Dulles — Pinay. Pierwsza wiąże się z zeszłoroczną konferencją azjatycką w Genewie, która nałożyła na delegata radzieckiego i brytyjskiego, jako kolejnych przewodniczących, obowiązek czuwania nad sprawą wyborów w Wietnamie.

Po południu plenarne posiedzenie konferencji czterech. Na porządku dziennym punkt trzeci: kontakty Wschód-Zachód. Według pierwszych informacji przedstawione być miały cztery oddzielne projekty rezolucji. Ostatecznie wpływa projekt Molotowa, uwzględniający dyrektywy linowe szefów rządów, szereg sugestii z lipcowych propozycji premiera Faure'a, elementy nowego projektu francuskiego oraz wnioski z obecnej dyskusji. Nie po raz pierwszy delegacja radziecka czerpie

konstruktywne elementy z propozycji zachodnich z okresu obrad lipcowych. I nie po raz pierwszy ministrowie zachodni odrzucają propozycje własnych premierów.

Pinay, na wieść, że Molotow uwzględnił dawne projekty Faure'a, śpieszy z własnymi propozycjami, zawierającymi niektóre fragmenty projektu premiera francuskiego. Propozycje swe przedkłada jako wnioszek trzech ministrów zachodnich. W pośpiechu zapomnieli jednak uzyskać zgodę swych kolegów, ostatecznie więc projekt łąduje jako propozycja francuska. Dulles i Macmillan dopiero później godzą się go zażywać.

Dyskusja ma przebieg bardzo ostry. Już z pierwszych słów Dullesa a potem Macmillana widać, że nie chodzi im bynajmniej o zbliżenie Wschód-Zachód, lecz o próbę mieszanica sile w wewnętrzne sprawy krajów obozu pokoju. W przemówieniach ich słychać wyraźnie podźwięk „Głosu Ameryki” i „Freies Europa”. Molotow nie bez racji przypomina w odpowiedzi pewien fundusz stumilionowy, przeznaczony na „brudną robotę” przeciwko naszym krajom.

Nawias: W chwili, gdy pan Macmillan mówi o wolnej wymianie radiowej — w Londynie, BBC odmawia radzieckiemu sprawozdawcy radiowemu możliwości transmitowania meczu piłkarskiego między drużyną brytyjską a radziecką.

Z przebiegu dyskusji widać, że po chwilowym odprężeniu sobotnim ministrowie zachodni zdecydowali się uniemożliwić wszelkie porozumienie w jakimkolwiek punkcie. Stanowisko zachodnie uimuje zwięźle jeden z korespondentów amerykańskich: „jak nie chcą nam oddać całych Niemiec — to nie dostaną nic”. Niezręczne, i nieprawdziwe określenie sytuacji. Dużo trafniej ujął sprawę Walter Lippmann, pisząc w „New York Herald Tribune” — „Panowie Dulles, Macmillan i Pinay udali się do Genewy świadomi, że nie ma najmniejszej szansy, by Związek Radziecki zaakceptował ich warunki zjednoczenia Niemiec. Nie mają więc żadnej podstawy, by udawać bolesne zdumienie... Z powodów sobie tylko wiadomych zachodni ministrowie zdecydowali się przybyć na konferencję genewską ze starymi warunkami Adenauera, choć zarówno oni sami, jak i ich eksperci, jak każdy korespondent, wiedzili, że warunki te w ogóle nie nadają się do rokowań”.

Innymi słowy: Publicysta amerykański nie waha się twierdzić, że zachodni ministrowie z góry wykluczyli porozumienie w punkcie pierwszym. Jeśli więc teraz usiłują niepowodzeniem rokowań nad sprawą bezpieczeństwa i Niemiec usprawiedliwiać swój upór przy pozostałych punktach, to w gruncie rzeczy przyznają, że nie mieli zamiaru dojść do porozumienia na żadnym odcinku.

Większość dziennikarzy zachodnich tak to też pojmuje. Inna rzecz,

że nie zawsze ten pogląd znajduje odbicie w ich relacjach i artykułach. Trzeba jednak przyznać, że wielu korespondentów zachodnich nie cofa się przed wygarnięciem swym ministrom gorzkich słów prawdy.

Wtorek, 15 listopada

Przedostatni dzień konferencji. Tempo wydarzeń zaczyna się szybko wzmagać. Dziś dwa posiedzenia i dwie konferencje prasowe. Rano dalsza dyskusja nad punktem trzecim. Jak było do przewidzenia, wszystkie propozycje radzieckie zostają odrzucone. Teraz już nawet żaden z trójki zachodniej ministrów nie próbuje zachować pozorów.

Posiedzenie popołudniowe poświęcone punktiowi pierwszemu i drugiemu. Minister Molotow przedstawia do ponownego rozpatrzenia dwie propozycje do punktu pierwszego: a) projekt redukcji wojsk okupacyjnych w Niemczech oraz sił zbrojnych NRF i NRD, b) projekt paktu nieagresji pomiędzy krajami paktu atlantyckiego a krajami paktu warszawskiego. Oba odrzucone. Molotow niezrażony, podejmuje nową próbę znalezienia wspólnego języka. Tym razem na odcinku rozbrojenia. Przedkłada projekt deklaracji, ujmujący punkty zbieżne obu stanowisk i zalecający rozpatrzenie propozycji lipcowych czterech szefów rządów. Mimo iż deklaracja wskazuje na te punkty zbieżne, które poprzednio wyliczali Dulles i inni — i tym razem wniosek radziecki nie znajduje oddźwięku. Jeszcze jedna próba ze strony Molotowa; projekt deklaracji do punktu pierwszego. Projekt stwierdza, że choć nie osiągnięto zgody w odniesieniu do problemu bezpieczeństwa i Niemiec, niemniej w sześciu punktach dotyczących problemu bezpieczeństwa uzyskano duże zbliżenie poglądów. Delegacja radziecka proponuje więc, by fakt ten znalazł odbicie we wspólnej deklaracji czterech ministrów. Propozycja radziecka budzi duże poruszenie wśród dziennikarzy. Komentowana jest jako próba podtrzymania „ducha Genewy”. Byłaby ona świadectwem, że w niektórych dziedzinach osiągnięto postępek — co jest przecież faktem — a ogłoszenie takiej deklaracji popchnęłoby naprzód sprawę bezpieczeństwa.

Ministrowie zachodni są wyraźnie zaskoczeni propozycją radziecką. Dulles określa ją jako „interesującą”, ale prosi o odłożenie dyskusji do jutra. Macmillan przyłącza się. Pinay także. Widać noc na dostarczyć zachodniej trójce natchnienia, jak spławić i ten projekt, który przecież stwierdza fakty, stwierdzone już raz przez Dullesa...

Jutrzejczy rozkład dnia przewiduje aż cztery posiedzenia. godz. 9,30 — komisja koordynacyjna; godz. 10,00 — komisja redakcyjna; godz. 10,30 — spotkanie trójki zachodniej; godz. 11,30 — posiedzenie plenarne; godz. 15,30 — drugie posiedzenie plenarne i zamknięcie konferencji.

Środa, 16 listopada

godz. 9,30 — komisja koordynacyjna; godz. 10,00 — komisja redakcyjna; godz. 10,30 — spotkanie trójki zachodniej; godz. 11,30 — posiedzenie plenarne; godz. 15,30 — drugie posiedzenie plenarne i zamknięcie konferencji.

Komisja koordynacyjna ustala krótko procedurę dalszych obrad. Komisja redakcyjna potrzebuje tylko pół godziny, by uzgodnić tekst ostatecznego komunikatu. Gdy wieść o tym dociera do Domu Pra-

sy — wiemy od razu, że będzie to dokument stwierdzający jedynie fakt, że konferencja się odbyła.

Posiedzenie plenarne przedpołudniowe trwa również tylko pół godziny. Tyle, ile trzeba, by ministrowie zachodni mogli raz jeszcze odrzucić wczorajsze propozycje radzieckie. Noc nie wzbogaciła ich o żadne błyskotliwe argumenty...

Od godziny piątej kuluury Domu Prasy zapelniać się zaczyna dziennikarzami. Ostatnie spotkania, rozmowy, oczekiwanie na moment zamknięcia.

Krótką wymiana zdań z kilku burzliwymi korespondentami zachodnimi pozwala zauważyć, że czują się trochę nieswojo. Spore zaniepokojenie, jak opinia publiczna ich krajów przyjmie wyniki konferencji. Ministrowie zachodni starali się w każdym przemówieniu stworzyć dla siebie alibi. Czy jednak przemówi ono do przekonania milionów? Wątpliwości nekają nawet wielu zwolenników zimnej wojny... Gdy jeden z nich mówi „To pogrzeb ducha Genewy” — drugi odparowuje: „Raczej pogrzeb polityki z pozycji siły”... Jeszcze jeden komentarz poważnego dziennika zachodniego do polityki mocarstw zachodnich. „Manchester Guardian” w artykule „Po Genewie” pisze:

„Propozycje Zachodu w sprawie bezpieczeństwa są humorystyczne. Zdaniem pani Dulles i pana Macmillana udzielili oni Rosji gwarancji na wypadek ataku ze strony zremilitaryzowanych Niemiec. Ale w rzeczywistości jest to jedynie pusta obietnica... podjęcia właściwej akcji” i szukania pomocy ONZ na wypadek agresji. Zarzucili oni projekt sir Anthony Edena, który mówił o utworzeniu strefy zdemilitaryzowanej po obu stronach obecnej linii rozgraniczającej Wschód i Zachód. W zamian zaproponowali zredukowanie sił zbrojnych na wschód od przyszłej granicy zjednoczonych Niemiec. To znaczy Rosjanie mieli być się wycofać z Niemiec wschodnich a wojska zachodnie pozostały by tam, gdzie są. Potem były wykrętnie propozycje rozbrojenia i udawanie, że my się zgadzamy na nieograniczoną kontrolę i inspekcję, co jest nieprawdą. Być może, że jako manewr dyplomatyczny miały te posunięcia jakies usprawiedliwienie. Ale były one zbyt jawnie nieszczerze i pozostałyby niesmak”.

Raz więc jeszcze stwierdzeniem cynizm i hipokryzja. Widać pogląd ten szeroko rozpowszechniony wśród kół politycznych Zachodu, skoro raz po raz motyw ten wraca na szpalty tamtejszej — podkreślając burzliwość — prasy.

Z głośników rozlega się sakramentalne: „Uwaga, uwaga, ostatnie posiedzenie konferencji ministrów w Pałacu Narodów zakończyło się. Konferencje prasowe za kwadrans”. Hall Domu Prasy pustoszeje. Fala dziennikarska po raz ostatni spływa do sal konferencyjnych.

Jeszcze chwila — i następuje ostatni szturm na rozdzielnie tekstów i dokumentów: komunikat końcowy konferencji jest do odebrania. Mała kartka papieru zawiera tylko jedenaście linijek. Znacnie ich brzmienie już dawno z gazet codziennych. W całym gmachu stukają teraz gorączkowo maszyny do pisania, dalekopisy, wszystkie budki telefoniczne zajęte. Przekazujemy końcowe słowa konferencji genewskiej. Jest blisko północ, gdy wychodzimy z Domu Prasy.

Stefan Arski

Kartki z dziennika

Wspomnienie

JERZY ANDRZEJEWSKI

Z biblioteki przedwojennej pozostało mi kilka zaledwie książek. Wszystkie były w czasie okupacji wypożyczone znajomym i dzięki temu jedynie uniknęły popostawienia w magazynie, później zaś, po wielu zawiłych przygodach, powróciły do dawnego posiadacza. I tak oto, wśród całkiem nowego dla siebie towarzystwa, stoją obecnie na moich półkach bibliotecznych te stare, życiem dosyć utrudzone egzemplarze: Pascal, „Ferdynand” i „Czerwone tarcze” z dedykacjami autorów oraz XI tom tzw. Sejmowego Wydania Dzieł Wszystkich Mickiewicza obejmujący streszczenia i notaty przemówień z lat przełomu 1842—1848. Niedobrze, że właśnie ten Mickiewicz wygląda. Jeszcze w pierwszym roku okupacji uległ przykrej katastrofie, a mianowicie w okolicznościach, których nie potrafiłbym już dokładnie odtworzyć, wyłaziła się na niego popularna w owych latach soja i to w ilości tak obfitej, że przesycona tłuszczyzną książka jeszcze do dzisiaj nie utraciła charakterystycznego zapachu. Ale dość szczególnie uczucia, jakie ten egzemplarz „Przemówień” Mickiewicza we mnie budzi, łączą się ze sprawą całkiem inną.

Podobnie, jak wielu warszawiaków, wróciłem do rodzinnego miasta z wrześniowej wędrówki w pierwszych dniach października i kiedy po paru tygodniach oswojenia się z nową rzeczywistością stanęła przede mną potrzeba jakiegoś ustosunkowania się do wszystkiego, co się było dokonało — udzieliłem „historycznym wydarzeniom” jedynej odpowiedzi, na jaką mnie wówczas było stać: zachorowałem na żółtaczkę. Jesienią tego trzydziestego dwuletniego roku wielu ludzi obnosiło po ulicach Warszawy żółtknięte twarze i cytrynowe białka.

Jak wiadomo, żółtaczka należy do przypadłości przewlekłych, jeśli jednak przebieg jej nie jest szczególnie ciężki — chory może swobodnie spożytkować wolny czas oraz dietę na wzbogacanie swego życia wewnętrznego. Ponieważ moja żółtaczka była raczej przeciętna, a potrzeba duchowego pokarmu nagła — otoczyłem się książkami i oczywiście nie przypadek sprawił, że wszystkie, po które sięgałem, krążyły, jak cmy dokoła świecy, wokół jednego zagadnienia: towianizmu. Zanurzyłem się w teksty oryginalne oraz w monografię Pawlikowskiego, Ujejskiego, Szpotkańskiego i innych z zapamiętaniem nie mniejszym od opętania, w które akurat przed stu laty uwikłało się tyłu rozsądnie skądinąd myślących Polaków. Cóż to były za rekolacje narodowej Jadałem kaszkę manną, sucharki popijałem cienką herbatą i jak macthionio kręć przekopywałem się do mistrza Andrzeja poprzez ciemne i kręte korytarze millenarystów, pietystów niemieckich, swedenborgianizm, martynizm, mesmeryzm, Grabiankę, saint-simonizm, Vintrasa i Enfantina. Czego w tym labiryncie szukałem, jakie z tą wędrówką wiązałem nadzieje? Cóż? cokolwiek bym na te pytania odpowiadał teraz, po latach, jedno nie ulega wątpliwości, a mianowicie to, że skrzydła mojej młodzieńczej wiary dotkliwie zostały na wrześniejszych drogach przetrącone i chociaż w owej żółtaczce bynajmniej nie do wysokich lotów mi było, przecież po swojemu „cierpiełem za miliony” i jakiejś drogi prowadzącej do dziennego światła

koniecznie potrzebowałem. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że jeśli wielkie sprawy się kończą — umierają zazwyczaj w sposób groteskowy.

Kiedy przeglądam teraz zatłuszczone soją stronice „Przemówień”, przypominam sobie bez większych trudności, jak szczególnie dokładnie i cierpliwie, już uzbrojony w dość gruntowną wiedzę o epoce, studiowałem wszystkie wypowiedzi Mickiewicza; ile wkładałem wysiłków, aby w myślach i wskazaniach, praktykach, zamysłach i nadziejach tego potężnego umysłu miotającego się w mrocznym gąszczu Koła Sprawy Bożej odnaleźć jakiś na teraz użyteczny drogowskaz, bodaj wąty cięń odpowiedzi na dręczące pytanie: co dalej?

Rzadko na ogół robiłem na książkach notatki, ten jednak tom ma całe marginesy popisywane uwagami i komentarzami. Trudno mi teraz uważnie wyczytać się w te zapiski, nie chwytam już wielu spraw wówczas dla mnie jasnych i oczywistych, erudycja mnie po prostu w tej materii obecnie zawodzi, a przecież nawet pobieżne przewertowanie tomu budzi we mnie coś z uczuć, jakich musimy doznawać widząc lunatyka posuwającego się brzegiem przepaści. Zleci, nie zleci? Uziyma roznawo, czy skreśli kark?

Obecnie tyle jedynie bez ubarwiania przeszłości mogę powiedzieć, że nie kto inny, tylko Mickiewicz („A ty jak oblok górny, ale błędny palasz — I sam nie wiesz, gdzie leciś, sam nie wiesz, co działasz”) najdalej mnie wówczas pociągnął w mistyczne głębie „ducha” i „tonu”, lecz również nie kto inny, tylko on sprawił, że zachłyszawszy się duszną atmosferą „schadzek bratnich” u brata Adama, pewnego dnia się zbuntowałem i powiedziałem sobie stanowczo: dość!

Nie wydaje mi się zresztą, aby ów bunt rozsądku ogarnął mnie nagle w jakimś określonym momencie, Bunt długo zazwyczaj fermentuje, I tak np. u samego prawie początku tomu, przy notatce z zebrania Koła w październiku 1842 roku: „Gdy się zanościło na spory rozumowe, postanowiono zamknąć posiedzenie modlitwą” — widzę duży znak zapytania, a już wyraźnie krzytycznie sformułowane uwagi odnajduję na marginesie następującej relacji o przemówieniu Mickiewicza w roku 1843: „Zakończył o sposobie odbywania narad w Siódmkach. Narada jest modlitwą. Brata mówiącego słuchać z zupełnym zapamiętaniem swojego przekonania, inaczej narada zmienia się w dyskusję, tracimy z oczu główny przedmiot Sprawy, a walczymy już z własną miłością o zdanie osobiste. Sąd podał do wypracowania duchowego następne zdanie: że mamy każdego słuchać, kiedy mówi, jak żebyśmy słyszeli przezeń Chrystusa mówiącego”.

Można strawić szaleństwo pojedynczego człowieka, natomiast szaleństwo zorganizowane i zdyscyplinowane jest nie do zniesienia. Byłem zatem gruntnie wyłeczony i kiedy żółtawy jeszcze cokolwiek na twarzy wyszedłem po raz pierwszy po chorobie na listopadowe ulice okupowanej Warszawy — mogłem, rozglądając się dokoła uważnie, snuć cokolwiek przekorne refleksje na temat nie najprostszyc dróg, jakimi wśród ludzkich zdarzeń i losów zdążył poeta „za grobem zwycięstwo”.

Jerzy Andrzejewski

SEWERYN POLLAK

Liryka Mickiewicza w przekładach rosyjskich

Zapoczątkowane w stu pięćdziesiąt rocznicę urodzin Adama Mickiewicza wielkie pięciotomowe wydanie jego dzieł w przekładach rosyjskich, zostało zakończone w roku 1954. tak że dzisiaj, gdy cały świat uroczystie oddaje w Roku Mickiewiczowskim hołd poecie, Rosjanie mogą się poszczycić pięknym wydaniem, które sumuje wysiłki współczesnych poetów — tłumaczy i całej rosyjskiej mickiewiczologii. Wydanie to zapowiadane było od lat wielu. Rosyjskich znawców poezji Mickiewicza nie zadowalały liczne dotychczasowe próby popularyzacji jego twórczości i podjęli wielki wysiłek, ażeby całą tę twórczość ukazać czytelnikowi w nowych przekładach, które w założeniu miały sprostać wysokim wymaganiom, stawianym dzisiaj wobec tego rodzaju prac. Wychodząc z tych założeń redakcja wydania, pod naczelnym kierownictwem światowego tłumacza i popularyzatora poezji Mickiewicza w ZSSR, Maksyma Rylskiego (zespół redakcyjny tworzyli: D. Blagaj, F. Golowienko, A. Gundorow, N. Stawiatyński, B. Turganow i M. Ziłow, przy czym nazwiska Turganowa i Ziłowa znane są nam dobrze z wielu uprzednich prac nad Mickiewiczem) jedyny wyjątek od zasady współczesnych tłumaczeń zrobiła dla przekładów Puszkina. Nie jestem pewien, czy założenie,

którym kierowali się redaktorzy, było całkowicie słuszne i czy w sumie dało najlepsze rezultaty. Wydaje mi się, że oparcie wydania wyłącznie na przekładach współczesnych dało co prawda pewną jednolitość stylistyczną, niemniej trudno się powstrzymać od wyrażenia załul, że zrezygnowano z wielu bardzo pięknych tłumaczeń, wspomnę tu choćby Bunina, tłumaczeń bardziej wymownych w swojej sile poetyckiej niż niektóre nowe, i że rezygnując z nich, nie pokazano pięknej tradycji żywego stosunku poetów rosyjskich do dzieła Mickiewicza. A tradycja to przecież nie byle jaka. Długa jest lista poetów i pisarzy rosyjskich, którzy przez sto trzydzieści cztery lata — poczynając od pierwszego, dokonanego w 1821 roku przez Rylejewa przekładu fragmentu „Lilii”, od nie wykończonych puzzeń tłumaczenia „Świtezianki” i od wiersza pt. „Przypomnienie”, który Rylejew pisał na wzór „Przypomnienia” Mickiewicza — bądź tłumaczyli, bądź też znajdowali się pod bezpośrednim urokiem twórczości genialnego poety.

Rylejew wraz z Bestużewem pierwszym zbliżył się do Mickiewicza. Świadczy o tym chociażby notatka w dzienniku Bestużewa z grudnia 1824 roku, że znaczy w miesiąc po przyjeździe Mickiewicza do Petersburga: „31.12. Środa. Mam dziś. Wczorąm do jedenaście godzin

u nas Mickiewicz. Jeżowski i Małewski. Piłiśmy na cześć Nowego Roku”. Dowodem zaś przyjaźni z Mickiewiczem — pisze Rafał Blüth w rozprawce „Mickiewicz i Rylejew pod pomnikiem Piotra Wielkiego” — może być list polecający, jaki napisał Rylejew do poety Tumańskiego do Odessy:

„Pokochaj Mickiewicza i jego przyjaciół: Małewskiego i Jeżowskiego — kochani, dobrzy chłopcy! Zresztą i pisać nie ma o czym — ze względu na ich uczucia i sposób myślenia są oni już naszymi przyjaciółmi, a przy tym Mickiewicz poeta i ulubieniec swego narodu”.

Tegoż Tumańskiego, podobnie jak i Rylejewa, tentuje sonet „Przypomnienie” — usiłuje go tłumaczyć już w 1822 roku, na długo przed zawarciem osobistej znajomości z polskim poetą.

Po powrocie z podróży krymskiej, w okresie moskiewskim, a następnie petersburskim Mickiewicz wchodził w środowisko intelektualistów rosyjskich. W Moskwie, w salonie księżny Zenaidy Wołkońskiej i u Sobolewskiego, spotyka się z najwybitniejszymi pisarzami tego okresu, z Puszkinem, Zukowskim, Gribiedowem, Wiazemskim, Baratyńskim, Wieniewitnowem, Delwigiem. Nie warto tu zresztą wyliczać dokładnie rosyjskich przyjaciół literackich Mickiewicza, rzecz ta znane są z licznych jego życiorysów i wspomnień współczesnych. Interesuje nas raczej to, że szybko rosnąca sława Mickiewicza w rosyjskim środowisku literackim wywołała olbrzymią falę przekładów jego poezji. Pierwszym, drukowanym w 1826 roku w piśmie „Moskowskiej Telegram” tłumaczeniem

z Mickiewicza był „Kurhanek Maryli”. Tłumaczył go Jurij Poznanski, oficer sztabu generalnego, który przyjechawszy do Moskwy, w Miłokołaju Polewoju znalazł człowieka podzielaającego jego zachwyt nad polskim poetą. W trzy lata później Poznanski tłumaczy „Alphare”, którą drukuje w almanachu „Pod-snieżnik”.

„Sonety Krymskie” natychmiast po ukazaniu się w 1827 roku wywołały zachwyt i uznanie rosyjskich pisarzy, a także liczne przekłady. Pierwszy tłumaczył je prozą Wiazemski, który znał zresztą dobrze język polski. Drukuje je już w kwietniowym numerze „Moskiewskiego Telegramu” z 1827 r. dodając przekład „Ranka i wieczora” oraz „Rezygnacji” i zaopatrując w artykuł krytyczny pt. „Sonety Mickiewicza” gdzie pisze: „Mickiewicz należy do małej liczby wybrańców, którzy posiadli szczęśliwe prawo reprezentowania literackiej chwały swoich narodów...”

Poza Wiazemskim tłumaczy „Sonety Krymskie” Illiczewski, kolega Puszkina z liceum w Carskim Siole, Wasyli Szczastny, I. Kozłow i W. Lubicz-Romanowicz. Szczastnego łączyły z Mickiewiczem przyjaźne stosunki — swój przekład „Farysa”, drukowany w 1829 r. zaopatruje on w następującą notatkę: „Wiersz ten, niedawno napisany przez p. Mickiewicza, przed wydrukowaniem w języku polskim został na życzenie poważanego poety przełożony z jego rękopisu”.

Wymienieni tu tłumacze dają przekłady różnej wartości, nie zawsze nawet zachowując formę sonetu. Bieliński, omawiając tłumaczenie Kozłowa stwierdza: „Już sam fakt, że Kozłow 14 wierszy Mickie-

wicza tłumaczył niekiedy w 16, 18 i 20 wierszach, wskazuje na to, że walka z tą nierówną”. Jednocześnie przy tym zauważa, że Kozłow „potrafił przyswajać literaturę rosyjskiej najcenniejsze perły literatury obcych”.

Interesujące jest, że Lubicz-Romanowicz, który w przedmowie do swych tłumaczeń liryki mickiewiczowskiej (w 1862 r. wydał on jeszcze jeden wybór z Mickiewicza, do którego wszedł m. in. przekład „Grażyny”) pisze z największym zachwytem o geniuszu polskiego poety. Wiele lat później, w 1882 r., wspomina, że do tłumaczenia poezji Mickiewicza namówił go Puszkina.

Wśród literatów rosyjskich i szerokiej publiczności największe rozgłos poza „Sonetami Krymskimi” zdobył sobie Mickiewicz „Konradem Wallenrodem”. Wstęp do „Konrada Wallenroda”, a raczej pierwszą część wstępu, tłumaczy Puszkina. Jak wspomina w swoich „Zapiskach” Ksenofont Polewoj, „Konrad Wallenrod” wzbudził tak wielki entuzjazm wśród Rosjan, że nie znając języka polskiego zwracali się do mieszkających w Petersburgu Polaków o dosłowne przekłady — jest to miarą popularności poematu.

Puszkiniński przekład wstępu do „Wallenroda” na ogół jest bardzo wierny, pewne odstępstwa od oryginału wywołują się z tego, że Puszkina zamiast jedenastogłoskowca użył w swym tłumaczeniu nie pięciostopowego, lecz czterostopowego jambu — ulubionej swej miary wierszowej.

Natychmiast po ukazaniu się poematu Mickiewicza w druku posypały się tłumaczenia. Tłumacząc frag-

menty „Wallenroda” między innymi mi wspomniani już Poznanski i Lubicz-Romanowicz, cały poemat przekłada prozą Szewyriow i drukuje w piśmie „Moskowskiej Wiestnik”. Najlepszym przykładem, co sądziłi pisarze rosyjscy o „Wallenrodzie” są słowa Zukowskiego. Zukowski, pisze o Mickiewicu i o jego poemacie w następujący sposób: „To jest na pewno wielki poeta. Nie znam nic z jego utworów, ale to, co wyrecytował mi sam zia francuską prozą ze wstępu do swego poematu, który właśnie ukończył, jest doskonałe. Gdybyś teraz pisał, albo miał czas pisać, natychmiast bym się zabrał do tłumaczenia tego poematu”.

Jeśli chodzi o rosyjskie przekłady z Mickiewicza, trzeba wspomnieć, że za czasów jego pobytu w Rosji ukazał się jeszcze między innymi dokonany przez M. Wroneczkę przekład drugiej części „Dziadów” oraz tłumaczenie „Farysa” przez G. Sijanowa.

Dzieje przekładów rosyjskich z poezji Mickiewicza wymagają obszernej i wyczerpującej pracy. Sergiusz Kulakowski w drukowanym przed wojną w „Kamieniu” krótkim przeglądzie rosyjskich tłumaczeń z Mickiewicza wymienia nie licząc recenzji około trzysta samych większych rozpraw i artykułów o życiu i twórczości naszego poety, jakie ukazały się w Rosji począwszy od 1826 r. Bibliografia przekładów niewątpliwie kilkakrotnie przewyższa tę cyfrę i czeka tylko na swojego Toporowskiego. Oto jest wdzieczne pole dla polonistów rosyjskich.

Seweryn Pollak

(Dokończenie w następnym numerze)

MICHAŁ RUSINEK

Międzynarodowa ankieta mickiewiczowska Polskiego Penklubu

Pragnać przyczynić się do uświetnienia Roku Mickiewiczowskiego Penclub Polski podjął przed kilku miesiącami myśl zorganizowania wśród najwybitniejszych pisarzy świata międzynarodowej ankiety, związanej z dziełem i żywotem genialnego poety. Wykorzystując swoje kontakty zagraniczne jak i osobiste spotkania choćby na ostatnim kongresie w Wiedniu, Prezydium Penclubu zaprosiło do udziału w ankiecie około stu pięćdziesięciu autorów: — poetów, prozaików i historyków literatury a także tłumaczy dzieł Mickiewicza na języki obce. Nie krepowano adresatów ścisłymi, tak typowymi dla ankiet pytaniami, przeciwnie postawiono im jak największą swobodę wypowiedzi. Wierząc, że tylko ta forma zaproszenia może przynieść w wyniku obfity plon inicjatywy, podkreślano w indywidualnych listach do pisarzy, że mogą sięgać zarówno do twórczości Adama Mickiewicza, wrażeń z lektury, rozpowszechnienia jego dzieł w świecie jak też wypowiadać swe refleksje na temat działalności politycznej i społecznej poety, jego idei filozoficznych i narodowych, jak i nawet samego romantyzmu polskiego.

Zakrojona na szeroką skalę inicjatywa Penclubu przynosi od kilku tygodni coraz obfitsze plony głównie dzięki osobistej korespondencji prezesa Penclubu Jana Parandowskiego. Napływają odpowiedzi z całego świata i niemal co dzień w pocztę Penclubu figurują nazwiska autorów o światowej sławie lub też niekiedy mniej nam znane, ale cieszące się u swoich narodów poczytnością i szacunkiem. Wśród pierwszych odpowiedzi znajdujemy takich autorów jak Jules Romain członek Akademii Francuskiej, były prezes międzynarodowy Penclubu, Jules Supervielle, wielki poeta francuski, Franz Hellens, znakomity pisarz belgijski, Hugh Mac Diarmid, postępowy poeta szkocki, Storm Jameson, wybitna powieściopisarka angielska, obecny wiceprezes międzynarodowego Penclubu czy Agis Theros, ceniony poeta, przewodniczący greckiego centrum.

O światowym zasięgu ankiety świadczą wypowiedzi napływające z najdalszych egzotycznych krajów. Wśród tych wymienię choćby listy prof. Said Najicy z Teheranu, Hinduski Sophia Wadia, przewodniczącej All India Centre czy dr F. C. Slatery, poety z Południowej Afryki (Penclub w Johannesburgu).

Jest przy tym rzeczą godną podziwu, że wysyłane w świat zaproszenia Penclubu, przynoszą plon nie tylko w postaci odpowiedzi na ankietę, ale często dają bodziec do zainteresowania się twórczością Mickiewicza, niekiedy autorowi zagranicznemu dotąd nieznaną lub, co rzecz ważniejsza, budzą godną naszej wdzięczności inicjatywę organizowania uroczystości mickiewiczowskich w odległych krajach.

Oto kilka przykładów. Wspomniana już pisarka angielska Storm Jameson odpisując na nasze zaproszenie odmówiła zrazu udziału w ankiecie z całą szczerością wyznając, że nie zna żadnego z dzieł Mickiewicza. Dopiero na skutek drugiego listu, zawierającego sugestie, by zadała sobie trud i poznała „Pana Tadeusza” w tłumaczeniu angielskim, o którego istnieniu w ogóle przedtem nie wiedziała, zachęciła się do przeczytania eposu. I wtedy porwana wielkością i pięknem arcydzieła nadesłała nam essay, zawierający bogactwo zwierzeń obcokrajowego czytelnika, zachwyconego poematem.

Inny z autorów F. C. Slater zadziwia skrupulatnością swych dociekań, skoro pisząc o Mickiewiczu przydaje mu drugie imię Bernard, o którym nie każdy nawet czytelnik polski wie, że wchodziło w pełne brzmienie nazwiska poety. Tenże autor informuje jednocześnie, że jego odpowiedź na ankietę jest nie tylko jego osobistym sądem, ale jednolitą opinią całego zebrania poświęconego Mickiewiczowi przez Penclub południowo-afrykański.

Wielką naszą wdzięczność zaszkarbili sobie wspomniana pisarka hinduska S. Wadia. Nie zadowolona jej bowiem sama odpowiedź na ankietę, bo zaczerpnąwszy zachęty z listu Penclubu organizuje wielką akademię Mickiewiczowską w Indian Institute of Culture w Bangalore. Podkreśnię A. Theros podjął zamiar publicznego uczczenia naszego poety na uroczystym zebraniu Penclubu i związku pisarzy greckich. Chyba te kilka przykładów wystarczy, by natchnąć wiarą w celowość podjętej inicjatywy.

Ankieta jest w tej chwili w pełnym toku. W najbliższych dniach spodziewamy się cennych wypowiedzi od czołowych pisarzy Związku Radzieckiego, krajów demokracji ludowej, od pisarzy niemieckich (m. in. Alfred Döblin) (już zresztą reprezentowanych w zbiorze nadesłanych odpowiedzi), oczekujemy dalszych listów od autorów zachodnio europejskich, amerykańskich i azjatyckich.

Plon ankiety wydany będzie przez Penclub w osobnej księdze, w której zamieścimy teksty oryginalne różnojęzycznych, przekłady polskie i nadsyłane przez autorów fotografie. Wydawnictwo ukaze się jako pokłosie Roku Mickiewiczowskiego w 1956 r.

Michał Rusinek

STORM JAMESON

„Pan Tadeusz” po angielsku

Czytelnik angielski biorąc do ręki „Pana Tadeusza” staje przed podwójnymi trudnościami. Po pierwsze czyta go w przekładzie z góry przekonany, że nie tylko wiele z jego uroku, ale nawet z istotnego znaczenia zginęło w szarzyźnie prozy, która w najlepszym wypadku może tylko w przybliżeniu oddać treść i formalny kształt oryginału. Poza tym przed oczyma czytającego pojawia się kraj i społeczeństwo, o którym jego wiedza jest znikoma. Jeśli nawet nabył nieco wiadomości historycznych o tej epoce, to i tak jest pelen niewiedzy o środowisku. Historia bowiem każdego kraju ma w sobie niejako żywą krew narodu, obcą cudzoziemcowi.

I oto rzecz zadziwiająca angielskiego czytelnika. Mimo trudności jakie nasunęły te dwie przeszkody, bo nawet tak proste wyrazy jak

„soup” czy „house” nie oddają analogicznego polskiego znaczenia, mimo wspomnianej nieznajomości tragicznej historii Polski, wystarczy pierwsze słowo „exil”, by przybliżyć nas do dzieła i wzbudzić nagłe olśnienie. Mimo wielu utrudnień czytelnik już u początku poematu biera wiary w wielkość poematu a potem przychodzą chwile, gdy nie czuje się cudzoziemcem, borykającym się z nieuchwytną wizją poety, ale popada z nim w zażyłość i czyta epos nie jako rzecz obcą, ale jakby wspomnienie ze znanej mu przeszłości.

Zażyłość ta ma swoisty charakter. Raz nachodzi czytelnika, to znów odeń umyka w miarę jak zagłębia się w ten poemat tkwiący korzeniami w pogańskiej przeszłości Litwy.

Gdy w mroku na wpół zburzonego zamku Horeszków bijatka prze-rywa uctę, resztki pozostałe po bie-

siadzie nasuwają poecie obraz nocnych objat składanych przez lud wiejski duchom swoich przodków. Ujadanie psów, krakanie wron, to przepowiednie wojny i głodu. Pierwsza wieczerza w zamku, pełna dostojnego spokoju i patriarchalnego porządku, a nawet udanie się młodzieży na nocleg do stodoły — wszystko to posiada czar starych baśni czy homeryckiej opowieści, choć przecież wiemy, że zastawa była z saskiej porcelany, tabakierka Podkomorzego wysadzana brylantami a wino lało się do kryształowych kielichów. Ten sam czar odczuwamy we wspianym opisie bitwy w IX księdze.

Są w tym poemacie pierwiastki z zamierzchłych czasów. Nawet przekład prozą nie pozbawia piękna takich obrazów, jak zapadanie pocy czy wschód księżyca, w których pojawia się nam urok najdawniejszych mitów ludzkości o płodnym związku ziemi i nieba. Geniusz Mickiewicza cechuje zdolność sięgania do głębin zamierchłej ludzkiej pamięci, umie on docierać do najdrobniejszych korzeni starego drzewa czepiających się ziemi w wielkiej od pnia odległości. I w tym jest przyczyna, że staramy się dociec źródeł naszego czytelniczego doznania i wspomnianej już zażyłości z twórcą.

W angielskim czytelniku wywołuje ta epopea reminiscencje z własnej literatury, przypomina pełną żywiołowość okresu elżbietańskiego i zdrowy, rozbrajający humor osiemnastowieczny. Wydaje się nieporozumieniem mówić w związku z Mickiewiczem na przykład o Henry Fieldingu. Jest to naprawdę niedorzeczność szukać podobieństwa między wielkim poetą a podziwianym powieściopisarzem, których nie łączyło żadne pokrewieństwo poetyczne a jednak właśnie Fielding przychodzi czytelnikowi na myśl, gdy uzbrojona szlachta Hrabiego nie zdolna po dokonanej zajeździe nikogo zabić, wyładowuje swój gniew w tragicomicznej rzezi wół, wieprza, gęsi i kur, a z wycięży ją sen przychodzący po rabalaisowskiej uczcie, utopionej w morzu trunksów. W innych partiach przychodzi na myśl Fielding ale i zaraz trzeba o nim zapomnieć. Rejent przebrany we francuski strój na swój ślub z Telimeną, to czysty Fielding. A Telimena, starsza w rzeczywistości niż się Tadeuszowi wydawało na pierwsze wejście, Telimena piękna ale dzięki pokładowi różu, jak to wykrył Tadeusz w krytycznej chwili po „sentymentalnej edukacji”, to też jakby postaci Fieldinga ale już odmienione, bardziej ludzkie, pokazane z wyrozumiałością sympatii poety dla uroczej w swej niedorzeczności Telimeny, jej sprytu i ciętego dowcipu.

Fielding prawdopodobnie tak samo przedstawiłby rozterkę Telimeny gdy rozważa, czy Hrabia bogaty, przystojny i pociągający choć jasnowłosy (a blondyni rzadko bywają namiętni) jest aż tak zakochany, by ją poślubić. Bo co innego Tadeusz, młody mężczyzna, który powinien być wdzięczny kobiecie za pierwszą rozkosz w życiu. Można go uczyć i kierować nim w wielkim świecie...

Lub ta scena, przy mrowisku, gdy niekochający Telimeny Tadeusz pomaga jej opętać się od mrówek i popada z nią w intymny stosunek, na krótko ich godzący. To już całkowicie Fielding. A znów sceny między Telimeną a Hrabia, kiedy ich wzajemne dusze otoczone wspólnością litewskiej puszczy ubolewają nad tym, że skazane są żyć z dala od uroków Italii. No i krótki, śmieszny epizod, gdy Tadeusz flirtuje we drzwiach z Telimeną i nagle ploszy ich Wojski polujący na muchę. W ujęciu Fieldinga te na przykład fragmenty stałyby się groteskowe lub brutalne. Mickiewicz



Daguerotyp paryski z r. 1839 (Muzeum A. Mickiewicza)

MIKOŁAJ BAŻAN

Pieśń o trzech nożach

(Z cyklu „Mickiewicz w Odesie”)

I deszcz, i śnieg...
Pustkowie i obczyzny żalony znak to.
Drzewa topole wbite w brzeg
Obłozonymi gałązkami dzwonią traktom.
Południe wzywa,
Urwisko stepów nad czarno-białym morzem,
Gdzie rdzawy kamień i słonorośl chciwa,
I smukłych masztów krzyże po Chadźibejskie kosogórze.

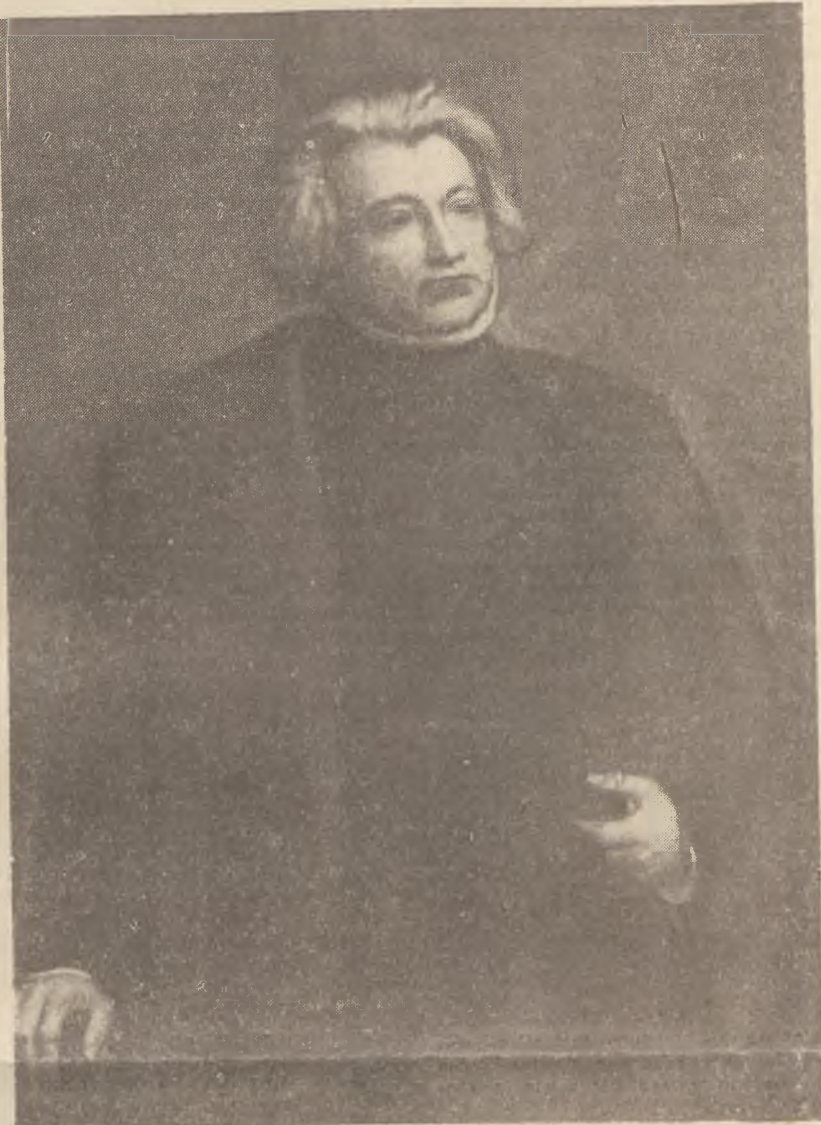
Gdzież go zagnała dola zła?
Cóż ma tu czynić poeta i wygnaniec?
Isé tam, gdzie gnają go losu zachcianki
I słuchać szeptów łaskawej kochanki,
I z karczym brzęku tłuczonego szkła,
Wrzasku: „Kochajmy się!” z herbownych gardel pjanie?
Pod bacznym szpiclów okiem,
Przy pjanym śpiewie garnizonów,
Pod pań lubieżnym wzrokiem,
W balowej wrzawie rozpustnych salonów —
Pędzić ten rok,
Ten rok ogromny,
Dwudziesty piąty rok nowego wieku?
Ścierpi że on, pielgrzym bezdomny
Tępych satrapów stopę na człowieku,
I samowładców ryk szaleńcy,
I tę bezprawia perfidie wykrętną?
Nie to poeta dla poety wieszczyl
W ostatnią roku noc pamiętną!

Wspomnił tę noc i znów wymarzył
Nadnewski dom, bratnią gościnę,
Poncz, co błękitnym trysnął dymem,
I mile rysy czterech twarzy.
Wspomnił tę noc nadziei i miłości,
Natchniony toast Rylejewa,
I gest przyjaźni, gdy każdy się zerwał
Oddać cześć Polsce, oddać chwałę Rosji.
Wspomnił i to, jak jednocześnie
Praw gospodarza wyrzekł się Bestużew
I tylko gniewnie oczy mrużył,
Szukając rymów celnych dla swej pieśni.

Z jakich to niezbadanych wnętrzy
Nadziei, żalu,
Dobyl jak oręż tajemny, najświętszy
Pieśń o kowalu?
Ostra jak miecza klinga stalowa,
Czarna od krwi, od rdzy
Śpiewała o tym, jak noże trzy
Wykuł na zemstę kowal.
I runął ciosem pierwszy nóż
W brzuch wielmożów, w pański tłuszc,
Chwyciwszy, drugi nóż do rąk,
Świętoszków zaklamanych rąb,
A trzeci nóż na gniewu dnie
Niech ojca-cara dźgnie!
No cóż, daj Bóg i wszelki duch! —
Z Bestużewem Rylejew śpiewali tak we dwóch,
A inni każde słowo bratniej pieśni,
W której się buntu zapalały lonty,
Tak przyjmowali, jak znak dobrej wieści.
Zaczął się rok dwudziesty piąty.

Zamieć rosyjskiej długiej zimy,
Głęboki śnieg, gwałtowny wiatr,
Białe milczenie Ukrainy,
Stepowy, nieskończony trakt.
Południa kraj to, pustka w okrag.
Ciężarne morze wmarznęte w widnokrąg.
Ale ta cisza głucha nie zatrwoży,
Pielgrzymu, który przywędrował z dala,
Bowie i tu lśnią w pieśni ostrza noży,
Bowie i tu czekają na kowala...
Jedźmy! Drogami, które deszcz omaszcza
Do bram liceum długo jeszcze brnąć!
I Bestużewa, Rylejewa listów dotyka dłoń
Ukryta w polach płaszcza.

Przełożyła Anna Kamińska



Henryk Rodakowski „Mickiewicz” (Oryginał w Muzeum Mickiewicza)

SIEMON KIRSANOW

Czytając Mickiewicza...

Iten portret młodzieńca w kosmatej burce i ta grawiura, z której kart skierowane jest ku wam spojrzenie, które już mówi o wielu cierpieniach życiowych i ten profil wy-
rzeźbiony na pamiątkowym medalu brązowym — wszystko to jest obrazem Adama Mickiewicza.

Ale żaden pedzel, żadne pióro, żadne duto nie potrafią tak wiernie i dokładnie wyrazić wielkiego poety, jak jego poezja, która daje nam pełne poczucie jego realnego istnienia jako człowieka i w jego epoce, i wśród nas, i w przyszłości.

Przedziwny poeta, przedziwna poezja. Ludzkość wzbogaciła się przez nią, jest dumna z drogiego wkładu narodu polskiego do skarbnicy wszystkiego najlepszego, co stworzone zostało przez ludzi.

Na jakiegokolwiek stronie otworzę Mickiewicza, zawsze mam poczucie cudu stworzonego ze słów: cudu myśli i dźwięku, cudu obrazu i uczucia. W każdej strofie Mickiewicza widać nie abstrakcyjnego poety, a właśnie jego ze wszystkimi rysami indywidualnej niepowtarzalności i z jedynym rezultatem: bliskości naszymi myślami i naszymi poglądami, wspólnymi cechami w stosunku do życia, do przodujących dążeń dzisiejszego świata.

Po raz pierwszy zapoznałem się z Mickiewiczem przed 30 laty. Muszę powiedzieć z ubolewaniem, że zaznajomił mnie z Mickiewiczem ludzie, dla których poezja istniała jedynie jako ilustracja historii, albo jako suma przykładów z dziedziny gramatyki. Tłumacze Mickiewicza raczej informowali o swoich zawodowych nawykach, niż przekazywali jego specyfikę. Jedynie tłumaczenia Puszkina i Lermontowa lśnią światłem poetyckim, odpowiadającym oryginałowi. Dlatego przez długi okres czasu na przykład „Pan Tadeusz” rysował mi się jako poemat historyczny, jako karty z życia szlachty polskiej, a „Konrada Wellenroda” wspominałem jako daleką i surową romantykę, jak mi się wydawało, niczym nie związaną z potrzebami naszej współczesności.

Czytając na nowo Mickiewicza doznawałem wszystkich uczuć drugiego i trzeciego czytania, kiedy razem z całkowicie zrozumiałymi obrazami wielkiego poety, człowiek

widzi wszystkie błędy swej pierwszej percepcji. Okazało się, że wydarzenia najbardziej bytowe i związane z epoką w poemacie „Pan Tadeusz”, napelnione są poetycką treścią, która nie może ani się postarzać, ani obumrzeć. Czytając wołałem do siebie: „Czy rozumiałeś czy zobaczyłeś wreszcie co znaczy przebudzenie Tadeusza i ten otwór w okienkach wycięty w formie serca i te patrzące poprzecz serce młode oczy, te jasne włosy, to zniknięcie drzewczyny i to szukanie jej”

Wszystko to odnosi się również do miłości dzisiejszej i żyje jak współczesny portret, który się nie zesta-

(Dokończenie na str. 7)

(Dokończenie na str. 7)



Litografia Maurine'a (Muzeum A. Mickiewicza)

Znów nas wywieźli do innego miasta. Jest to trzeci już pobyt w obcych zupełnie stronach i podobnie, jak poprzednio, umieścili nas w shopie, w którym pracują krawcy, czapnicy i walcarki. Jesteśmy jak wędrowną trupą, która tak długo pozostaje w nowej miejscowości, dopóki hitlerowcy nie kończą przedstawienia z przedłużaniem życia zatrudnionym w różnych warsztatach, produkujących dla Wehrmachtu. Po zlikwidowaniu ludności zamkniętej w getcie, nas zabierają dalej.

W nowym shopie zgłaszają nas jako krawców-prasowaczy. Mamy stanąć przy długich stołach, by ciężkimi żelazkami przybić kanty żółnierskich portek. W rzeczywistości jednak stanowimy komando, które zatrudnione jest przy uprzątnianiu wyludnionego getta po wyśnieniu w nieznane tysięcy ludzi. Jesteśmy grabarzami zbutwiałych łachów, reszek ubrań, rozprutej pościeli, poduszek. Z opustoszałych miejsc, w których wczoraj jeszcze przebywali żywi ludzie, wynosimy stoły, krzesła, szafy. To wszystko ustawiamy następnie na przegrodzie oczyszczonym placu, po czym wywożą nas dalej. Za pierwszym i drugim razem nie wiedzieliśmy, że to się zamieni w praktykę, a i teraz jeszcze się ludzimy, że nie po to nas przywieźli. Niejednokrotnie, gdy nie mogłem zasnąć, zapytawałem siebie, po co nas wożą, dlaczego nie likwidują nas przy najbliższej sposobności? Po co wloką nas po nieznanym mieście i miasteczkach? Może nie chcą mnożyć świadków? Może wystarczy im nasza grupa, licząca 30 osób, do uprzątnięcia olbrzymiej polaci kraju z przedmiotów i rzeczy pozostałych przez kilka milionów Żydów? A może nie o to im chodzi?

Nas wybrali nąpewniej dlatego, że my już nie mamy nikogo. Jesteśmy wolni jak ptaki. Nie obawiamy się o siebie, ale my jesteśmy już uwolnieni od najgorszego lęku: od strachu o kogoś. Nas już nic z nikim nie wiąże. Chodzimy po ziemi, wynosimy ciężary, potem jedziemy odrutowanym, bydlęcym wagonem i znów wysiadamy na jakiejś obcej stacji, by udać się na miejsce niedawnej kaźni, skąd wynosimy z rudery i piwnic, ze strychów i komórek bieliznę, pościel, buty, stoły... Aż któregoś dnia znów pojedziemy bydlęcym wagonem, ale tym razem w ostatnią podróż — do Oświęcimia lub Treblinki.

Tu zainstalowali nas w olbrzymim bloku. Zamknięci czworobok wzniesiony z czteropiętrowych kamieni, tkwił nad niewielkim podwórkiem, które cuchnęło piwnicznym chłodem, gdyż słońce nigdy nie sięgało betonowej płyty. Jedno skrzydło tego czworoboku służyło zatrudnionym tu krawcom i czapnikom jako dom mieszkalny. Zamieszkaliśmy i my w tym bloku. Zagnieździliśmy się obok dawnych mieszkańców i ułożyliśmy sienniki we wspólnych salach, mieszczących się na trzecim piętrze. Długie korytarze przypominały korytarze więzienne: przechyliwszy się przez poręcz schodów, można było spojrzeć z góry na dół, na parter, który stał wyglądał jak miniatura kwadratowego podwórka.

W trzech pozostałych skrzydłach bloku mieściły się warsztaty, do których przeprowadzano nas codziennie do pracy wraz z dawnymi mieszkańcami. Byli to mężczyźni w średnim wieku, gdyż młodych hitlerowcy wywieźli wcześniej. Dokał? Nikt nie wiedział. Podobno do jakichś obozów pracy.

Z naszego bloku nikt nie wychodził. Do shopu wożono surowiec z miasta, a w długim pomieszczeniu na parterze mieszkalnego domu, ciemnym i wilgotnym jak nora, nazywanym sklepem, wydawano przysługę żywnościowy otrzymywany za zwrot kartek. Od przebywających tu krawców dowiedzieliśmy się, że mieszkają już tutaj od paru miesięcy: zanim tu przybyli, mieszkali wraz z rodzinami w getcie. Była to wydzielona dzielnica, położona gdzieś za miastem i nasi nowi znajomi przypuszczali, że ich rodziny zostały już wywiezione. Po to, tak twierdzili krawcy i czapnicy, odseparowano ich właśnie od najbliższych, gdyż hitlerowcy mogli się obawiać, że w czasie likwidacji getta co gorliwsi SS-mani zagarną również rzemieślników potrzebnych jeszcze do produkcji.

Przebywając tutaj nie byli więc świadkami tragicznego pochodu ich rodzin do śmiertelnego pociągu. Ale właśnie dlatego ciągle jeszcze żyli w kręgu ludzi żywych i bliskich, którym nadal należało poświęcać troskę i myśl i wspomnienie.

Myśleli nam tym, jak się wyrwać z tego zamkniętego obrębu, by ruszyć na kraniec miasta, do getta, i osobiście przekonać się o prawdzie.

— Niech będzie najgorsza — mówił nam — byłoby wiedzieć.

Nie było jednak mowy o tym, by się wydostać. Jedyne wyjście stanowiła brama, a tę strzeżono mocno dnem i nocą. Mogliśmy się o tym przekonać ilekroć opuszczaliśmy blok mieszkalny, by w cieniu bramy przejść na podwórze zamknięte ze wszystkich stron wysokimi oficynami, w których były warsztaty. Wówczas to w głębi ciemnej, długiej sieni widać było ciężkie drzwi, a w nich wykrój niewielki judasza, jaskrawe okągło oko. Przez ten otwór strażnik widział fragment ulicy — t a m t a stronę. Starych mieszkańców shopu trawiła więc niepewność o los najbliższych, ale my, nauczani doświadczeniem, wiedzieliśmy po co nas tu zwieźli.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy zwiastami likwidacji i niebawem przystąpimy do wynoszenia na placły rzeczy pozostawionych przez wywiezionych, którzy jeszcze byli tam, gdzie ich widzieć zadręczający się obecnie krawcy i czapnicy. Oni t a m jeszcze byli, jutro mogli ich wywieźć. Ale czy mogliśmy o tym powiedzieć dręczonym niepewnością? Czy mieliśmy od nowa sprowadzić na nich śmiertelny lęk po to, aby nazajutrz z nową siłą odżył ból, do którego przywykli, mniemając, że już nie ma nikogo spośród ukochanych?

Shop był wielki, zatrudniał jeszcze ze trzystu ludzi, a jego izolacja była tak całkowita, że ci ludzie mogli przez długi czas sądzić, że ich bliscy już nie żyją. Gdyby im wpadło na myśl sądzić inaczej, nikt by nie potrafił wyprowadzić ich z błędnego mniemania. O tym, co się dzieje w mieście lub w getcie, przebywający tutaj mogli się dowiedzieć jedynie od strażników, ale ci milczeli. Woźnice zwożący surowiec składali materiały w bramie, skąd myśmy je przynosili do magazynów dopiero po odprawie-

krawcom ani czapnikom. Był nau- czycielem, polonistą. T a m z- stawiał matkę i siostrę; żonę i dzie- ci wywieźli rok temu. Dokał? Nie wiem — odpowiadał sobie i wzru- szał ramieniem. Gdy zapisywali do shopu zgłosił się i nauczył praso- wać. Całymi dniami stał przy ol- brzymim stole i przybił ciężkim żelazkiem spodnie. Któregoś dnia znów powiedział, ale nie do mnie, tylko do siebie:

— Gdybym wiedział, kiedy to było, mógłbym przynajmniej uczcić dzień ich śmierci.

Tyle nam więc zostało: tyle mogliśmy sobie jeszcze przyswoić za krótkich dni naszego mizernego życia — daty śmierci. Ale oto spo- strzegłem w słowach mego nowego przyjaciela coś niezwykłego. On mówił o uczczeniu: d n i a ś m i e r- c i swoich bliskich, a nie o r o c- n i c y zgonu: on wpał, czy zdoła przeżyć najbliższy rok, by po upły- wie roku wywołać w pamięci datę, która go dręczyła i nie dawała spo- koin.

Nie pamiętam, czy się zdobyłem na jakieś słowa pocieszenia czy na- dziei. Gdybym się na to zdobył,

STANISŁAW WYGODZKI

byłbym jak ów kłamca, który wbrew oczywistości przeczy dzie- jącom się wokół sprawom. Jeżeli go pocieszałem, to na pewno bez przekonania. Zawsze, tak mi się wydawało, lepiej zostawić wątpliwe- mu jakąś szczelinę dla rozczarowań, by w chwili złości, zaskoczenia nie było całkowite i druzgocące. Któż lepiej wiedział od nas, że cios spad- nie na tych nieświadomych i tar- ganych niepewnością?

Któregoś dnia, była piąta nad ran- nem, zjawił się Broll, szef oddziału policji, strzegącej nasz blok. Był to olbrzym-siłacz o długich łapach i mocnych pięściach, który osobli- ście doglądał, czy jego podwładni dość szybko wypędzają nas z po- mieszczeń trzeciego piętra, gdzie spaliliśmy. Wyganiano jednakże tyl-

ko nas, przybyłych tu niedawno: starych mieszkańców bloku zos- tawili. Ci przyglądali się nam w mil- czeniu, lecz już zdążyli ukryć nie- pokoju. Nie rozumieli tego co się działo na korytarzu, gdzie nas usta- wiano. Stali w otwartych drzwiach, pobledli i milczący.

Tak więc zaczęło się to, co zna- liśmy już z poprzednich miast. Ka- zali nam wyjść na korytarz bez ma- rynamek i bez butów, bosy, w sa- mych spodniach. Również i te prak- tyki były nam znane. Ledwo odzia- ni, nie mogliśmy nic ukryć w cza- sie wynoszenia przedmiotów z wy- ludnionych pomieszczeń. Mimo to, zdarzało się, rewidowali nas, ale wówczas policjanci i SS-mani oszczędzali czas, gdyż pozbawwszy nas marynarek i butów, rewizję przeprowadzali szybko. Teraz, mi- mo iż byliśmy trzeci raz w takiej akcji, w głębi serca rozdziło się po- derżnienie, czy nie po to nas wy- prowadzają stąd, aby nas zlikwido- wać. Bo taki moment musiał na- dejść: byliśmy wędrownymi świad- kami zbrodni, czy mogli więc nas pozostawić przy życiu? Może wła- śnie dziś nastąpił ten moment, sko- ro — jak twierdzili nasi nowi zna- jomi — ich najbliżsi już nie żyją? Jeżeli tak było istotnie, to getto zostało już dawno opróżnione z przedmiotów pozostałych po zamor- dowanych, w takim razie nie do roboty nas wyprowadzają, tylko właśnie na śmierć.

Moje podejrzenia były tym bar- dziej niepokojące, że dzień był nie- dzielny i do tej pory nigdy w nie- dziele nie zapędzano nas do opróż- niania domów. Gdy się rozeszła wieść, że wyprowadzają nas z sho- pu, dotychczasowi mieszkańcy blo- ku przystąpili do pertraktacji z na- mi, aby się zamienić i im odstą- pić miejsce w szeregu. Również mój sąsiad, nauczyciel szepnął:

— Zamieńmy się. Ty zostaniesz, ja wyjdę zamiast ciebie i wtedy może mi się uda zauważyć kogoś ze znajomych... A może zaprowa- dzą nas do getta, jak myślisz?

Jemu ta propozycja wydawała się nader prosta, ale wnet wyjaśniłem mu, że to niemożliwe. Jako dawny mieszkaniec bloku był znany straż- nikiem z wyglądu i w bramie, przy-

kontroli, wyszłoby na jaw, że do grupy nowoprzybyłych dobił dawny mieszkaniec. A wówczas — czy rozumiesz — wówczas nie łatwiejsze- go, jak odkryć wśród was tego spo- śród nowoprzybyłych, który się ukrywa w shopie.

Ciągle mówiłem o tych trudno- ściach najprawdziwszych — ale ukrywałem przyczynę najbardziej istotną, dla której nie mogli wyjść poza bramę. Gdyby poszedł t a m, zyskałby absolutną pewność, że już nie posiada nikogo. Dodałem: gdy- by nas schwytali na tej kombinacji, rozwalą nas obu.

Staliśmy jeszcze chwilę w koryta- rzu: liczyli nas, a dawni mieszkań- cy, zawiedzeni w swych nadziejach wyjścia na miasto, patrzyli na nas z zawiścią i nieukrywaną nienawi- ścią. Nie wiedzieli, co my ujrzymy tam, dokał nas mieli zaprowadzić... — A może waz wywozą do inne- go miasta? — szepnął nauczyciel.

— Chyba nie — odparłem. — Przecież widzisz, zostawiliśmy ma- rynarki i buty. Oni zawsze tak...

— Co: „zawsze tak“ — podchwycił nauczyciel. Jego spojrzenie za- wiśło na moich wargach. Na próż- no czekał wyjaśnienia.

— My tu na pewno wrócimy. Prawdopodobnie mają jakąś robotą w mieście.

— To dlaczego nie biorą nas, tyl- ko was?

— Bo nie chcą, żebyście się ze- tknęli ze znajomymi.

— My nie możemy nikogo spot- kać. Nasi najbliżsi są w getcie.

— A nikogo więcej nie znasz w tym mieście, gdzie byłeś nauczycie- lem? Nie miałeś uczniów, przyja- ciół, kolegów?

Przytakiwał w milczeniu zdruzgo- tany moimi wyjaśnieniami.

— Więc dlatego wyprowadzą nas, a nie mieszkańców tego miasta.

— Jaka szkoda. Jaka szkoda. — Nagle ożywił się, jakby sobie coś przypomniał: — Słuchaj, a może oni was prowadzą tam...

— Gdzie tam?

— Do getta.

— Na pewno nie. Na pewno. Przypuszczasz, że mogliby tam po- ścić Żydów, którzy mają następnie



Teofil Kwiatkowski „Polonez” (Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie)

niu furmanów. Tak samo postępo- wali hitlerowcy przy zwożeniu żywno- ści przeznaczonej dla naszego sklepu przydziałowego i było wy- kluczone, aby ktokolwiek z przeby- wających w shopie mógł się zetknąć z kimś z zewnątrz. Reżym więzienny był tu stosowany w pełni: gdy przy- bywały samochody, by zabrać goto- we ubrania lub czapki, zamykano nas w warsztatach i żaden z nas nie mógł się znaleźć w bramie lub na podwórzu. U zamkniętych tu od dawna czasami ożywały wątpliwo- ści: żyją czy nie? I co uczynić, by się dowiedzieć? Myśmy im mogli tę prawdę powiedzieć, ale znaczy- łyby to tyle, co uprzedzić ich, że jutro lub pojutrze nastąpi wysie- dlenie, a więc ostateczna likwidacja najbliższych osób. Czy mieliśmy to uczynić? Bo jeśli w najskrzyt- szych myślach dopuścili kiedykol- wiek myśl o tym, że tamci już nie żyją, czy należało obudzić nowe na- dzieje skazane pconownie na uśmier- cenie? Bo przecież po to myśmy tu przybyli.

Po kilku dniach odkryłem w uporczywości pytań krawców coś co mnie uderzyło i co zdziwił musia- ło każdego z naszego komanda. Z licznych mniemań ludzi przebywa- jących tutaj, wylańało się coś co nazwałbym narodzinami nadziei o możliwości zachowania życia ich najbliższych. W ich pytaniach była nuta powątpiewania, czy hitlerow- cy postąpią z ich rodzinami podob- nie, jak postąpili z naszymi... Ale czy mieliśmy ich wyprowadzić z te- go błędnego, tragicznego mniema- nia?

Nekany ciąglem nagabywaniem i wykładaniami od nowa podejrzenia- mi i wątpliwościami chciałem w gniewie powiedzieć im, że ich na- dzieje są złudne. Chciałem ich zap- ytać, czy uważają tych hitlerow- ców tutaj za innych od tych, jakich myśmy znali, wreszcie, czy uważa- ją swoich bliskich za lepszych od tych, jakich myśmy mieli jeszcze niedawno? Czy ich bliscy i krewni są godniejsi życia, aniżeli nasi? Chciałem zapytać, dlaczego hitle- rowcy mieliby pozwolić ich rodzi- nom przetrwać wojnę, a nie pozwo- lili przetrwać naszym rodzinom.

Stary mieszkaniec shopu, który spał obok mnie na sienniku, powie- dział któregoś dnia:

— Oddałbym pół życia za to, że- by wiedzieć na pewno.

— Co na pewno?

— Czy już ich tam nie ma.

— Po co ci to potrzebne? Jeżeli żyją, to dobrze, a jeśli nie, to co ci przyjdzie z posiadania pewno- ści?

Wiem, że byłem okrutny, ale wie- działem, że oto nadeszła sposobność, aby go powoli przyzwyczać do my- śli, że już wkrótce nie będzie miał nikogo. Któż to wiedział lepiej od nas?

— Wiedziabym, „kiedy uczcić dzień ich śmierci“ — dodał.

Mój sąsiad mógł mieć czterdzie- ści — czterdzieści dwa lata i — jak mi się przysnał — nigdy nie był

Obcym językiem, z którym Mickiewicz był najbardziej spoufalcony, nie był język niemiecki. Był nim język francuski, który z czasem stał się drugim, niejako za- tem językiem Mickiewicza — wykładowcy, profesora, redaktora i działacza. Literatura niemiecka nie była też literaturą, z której poeta najwięcej wierszy przyswoił ojez- stej mowie. Ten zaszczyt przypadł w udziale literaturze angielskiej, a ściślej romantycznemu arcyepoeie, lordowi Byronowi. Mimo to wcale szeroki był zakres niemieckich bodźców intelektualnych, wpływów kulturalnych i artystycznych pobu- dek w twórczości Mickiewicza. Hi- storyka literatury i kultury zajmu- ją nie tylko łatwo uchwytnie związ- ki, lecz także atmosfera w jakiej dojrzewają twórcy i powstają dzieła. Dlatego przedstawiam tutaj cho- ęb w najogólniejszym zarysie zain- teresowanie Mickiewicza niemiecką nauką, literaturą i filozofią.

Wypada zacząć od przypomnienia, że Mickiewicz studiował obok li- teratury polskiej i historii także filo- logię klasyczną. Filologia klasyczna bujnie kwitła na uniwersytetach angielskich i niemieckich, była wówczas przodującą dyscypliną pośród innych filologii tak ze względu na ścisłość swej metody naukowej, jak na szeroka proble- matyka humanistyczna. Jest rzeczą powszechnie znaną, jaką ważną i często nowatorską rolę odegrało studium klasyczne i lektury staro- żytnych autorów w twórczości Goethego, Schillera i Byrona. Podobną rolę spełniło ono także w wypad- ku Mickiewicza. Profesorem litera- tury greckiej i łacińskiej w Wil- nie był dobry filolog i świetny pe- dagog, Gdańszczanin G. E. Grod- decki, wychowanek uniwersytetu w Getyndze. W jego seminarium czy- tał Mickiewicz Homera, Pindara i Demostenesa. Pod jego wpływem zajął się tzw. kwestią Homerycką i z jego poręki czytał pracę Wolfa „Prolegomena ad Homerum“, która wywołała prawdziwą rewolucję filo- logiczną i literacko — estetyczną. Ze względu na ideologiczną funkcję, jaką spełniała wówczas filologia klasyczna, warto nadmienić o re- publikańskim temacie literackim, który podjął Mickiewicz pod wpły- wem studiów starożytnych: o za- ginionej, młodzieńczej tragedii pt. „Demostenes“.

Drugą grupę pobudek zawdzię- czał poeta niemieckiej historii li- teratury i estetyce. Mickiewicz wy-

Fragmenty odczytu wygłoszonego w szeregach niemieckiej Republiki Fe- deralnej na zaproszenie Towarzystwa im. Klopstocka.

chowany na praktycznej poetyce francuskiej znalazł u niemieckich historyków literatury i teoretyków sztuki obfity materiał porównawczy i próby uogólnień, pierwiastki estetycznej spekulacji. W latach wy- pracowywania nowego programu li- terackiego, nowej poetyki, były to elementy zapładniające. Należy tu wymienić dla przykładu parę tych, dzisiaj znanych już tylko specjali- stom, dzieł: J. G. Schlegla „Allgemei- ne Theorie der schönen Künste“, J. J. Eschenburg „Theorie der schö- nen Künste und Wissenschaften“, J. A. Eberhard „Entwurf einer Theorie und Literatur der schönen Redekünste“, Fr. Bouterweck „Aes- thetik“ i Jean Paul-Richter „Vor- schule der Aesthetik“. Encyklopedię Sulzera próbowali nawet przekładać najbliżsi koledy Mickiewicza; sam poeta miał tłumaczyć z niej roz- dział poświęcony operze. Z now- szych znał m. in. pracę A. W. Schlegla „Vorlesungen über Dramatische Kunst und Literatur“ i Fr. Schlegla „Geschichte der alten und der neuen Literatur“.

Również jako adept studium hi- storycznego nie mało zawdzięczał Mickiewicz niemieckim kronika- rzom, dziejopisom i wydawcom źró- deł, zwłaszcza w dziedzinie stosun- ków niemiecko — litewskich, które interesowały przyszedł twórcę „Grażyni“ i „Konrada Wallenro- da“. Później, jako wykładowca li- teratury łacińskiej w Akademii Lo- zańskiej i jako profesor literatury słowiańskiej w Paryżu, nie prze- stał Mickiewicz korzystać z nie- mieckich podręczników uniwersy- teckich i monograficznych opraco- wań różnych zagadnień językowych i historyczno — literackich.

Nieraz studium historyczno — li- terackie szło w parze z pracą arty- styczną. Dzieła popularnego po- dówczas orientalisty Józefa Ham- mera — Purgstalla były jednym ze źródeł wiedzy Mickiewicza o poe- zji Wschodu i dostarczały materia- łu do autorskich not, w które mo- dą epoki wyposażał Mickiewicz „So- nety Krymskie“. Niemiecki język był też pomocą dla naszego poety przy zapoznawaniu się z arcydzie- łaми literatury powszechnej. Wie- my np. że Kalderona czytał w tłu- maczeniu niemieckim. Korzystał również z niemieckiego przekładu pieśni serbskich Tereksa A. L. Ro- binson-Taboju („Volkslieder der Serben metrisch übersetzt“ (1825—26).

W trzeciej grupie wymienilibym Mickiewiczowskie lektury filozo- ficzne (Schelling, Hegel), teozofi- czne (Jacob Boehme), mistyczne (Johann Scheffler) i moralne (J. Ch. A. Heinroth). Spekulacja Schel-

lingiańska w dziedzinie estetyki i filozofii przyrody odegrała rewolu- cyjną rolę w niemieckim, polskim i rosyjskim romantyzmie. W przeci- wienstwie do statycznej filozofii materialistycznej XVIII wieku, która sugerowała niezmienną porząd- ku świata, dynamiczna filozofia idealistyczna mówiła o ruchu, o napięciu sił, o zmianach w świe- cie materii i w świecie ducha. Po- za tym filozofia ta usiłowała dać uogólnienia najnowszych odkryć przyrodniczych (magnetyzm i elek- tryczność).

Podobnie postępową rolę przypa- dała w tym okresie w udziale teozo- filii i laickiej, niekościelnej mistyce. Do tych spraw wrócimy za chwilę. Tutaj wystarczy stwierdzić, że Mic- kiewicz ze wszystkich filozofów nie- mieckich najlepiej znał Schellinga; zostały tego pewne ślady w je- go poezji. Wśród swych wcale lic- znych lektur teozoficznych sporo miejsca poświęcił Jakubowi Boeh- memu i zostawił francuski szkic o jego systemie. Przekładał i para- frazował gnomy mistyczne Jana Schefflera (Angelus Silesius). Po ostatniej wojnie polska historia li- teratury zidentyfikowała jedno z tajemniczych i zniekształconych w autografie poety nazwisk, a mia- nowicie nazwisko doktora medycyny i profesora psychiatrii w Lip- sku Johanna Christiana Augusta Heinrotha, którego zapomniane dzia- ła dzieła moralno — filozoficzne czytał nasz poeta w okresie pisa- nia „Ksiąg narodu polskiego i pieł- grzymstwa polskiego“.

Obecnie przechodzimy do naj- ważniejszego punktu, do lektury niemieckich poetów.

I w tej jednak grupie daremnie byśmy oczekiwali jakichś rewela- cyjnych odkryć. Mickiewicz był wielkim poetą i oryginalnym genu- szem. Jak wszyscy wielcy poeci i oryginalni geniusze dużo czytał i studiował po to, żeby być tylko — sobą. Filolodzy starej szkoły hi- storyczno — literackiej mocno się napracowali i porównali mnóstwo tekstów, żeby dojść do bardzo mi- zernych wyników. Na czoło badań wysunął się stosunek Mickiewicza do Schillera; w mniejszym stop- niu zajmowano się stosunkiem Mic- kiewicza do Goethego. Wynik zresz- ta w obu wypadkach był zbliżony. Filologia i komparatystyka są be- zsilne wobec geniuszów. W obecnej prelekcji pójdziemy nieco inną dro- gą.

Mickiewicz zabrał się do nauki niemieckiego języka i do czytania niemieckich klasyków w przeło- mowej epoce swego poetyckiego ży- wota, w latach, w których przygo- towywał się do swego debiutu. A

WACŁAW

O MICKIEWICZU

od daty tego wystąpienia, od roku 1822, przypominam, rozpoczął się nowożytny dzieje polskiej literatu- ry.

Na jesieni 1820 roku pisał Mickie- wicz z Kowna do swych przyjaciół w Wilnie: „Przeczytałem ostatni tom najmlsiego Szyllera. Co za Ma- ria Stuart! Ale i wszystkie prze- dziwnie. Zmłotując się, cokolwiek niemieckiego! Bo już nie mam co czytać w lepszych chwilach“. I da- lej następuje charakterystyczna li- sta zamówień: „Werter“, Klopstock, „Faust“ i modna wówczas powieść baronowej Krudener „Valerie“.

Blisko dwa miesiące trwała ko- rrespondencja w sprawie Klopstocka i poszukiwanie „Messjady“ dla Mickiewicza, uwięczone wreszcie powodzeniem. Mickiewicz zaczął studiować Klopstocka. Studiował go widać starannie, skoro po upły- wie pół roku wileńscy koledy mu- sieli upominać się o zwrot „Messja- dy“, obiecując pocieć przy tej spo- sobności, jako następną nowość: „Wilhelm Meisters Lehrjahre“.

Nazwisko Klopstocka, spotkane w lekturach Mickiewicza w okre- sie ideowego i artystycznego formo- wania się naszego wieszca, budzi szczególne zainteresowanie. Czego Mickiewicz szukał w „Messjadzie“ Klopstocka? A może raczej należa- ło by zapytać, co Mickiewicz w „Messjadzie“ Klopstocka znajdował?

Messjady, jako utwory literackiej fikcji w ramach religijnej tematy- ki, odegrały ciekawą rolę ideolo- giczną w krajach, gdzie mieszcza- nstwo występowało do walki z feo- dalnym porządkiem politycznym, feudalną strukturą społeczną i feo- dalną nadbudową ideologiczną. Tak było w Anglii w XVII w. z re- ligijnym eposem Milтона i potem z biblijnymi misteriami Byroha. Tak się też miała sprawa w poło- wie XVIII wieku w Niemczech. Znaczenia Klopstocka nie podobna zamykać w obrębie sporu lipskich pseudoklasyków ze szwajcarskimi reformatorami poezji i stylu. Tłu- maczenia na obce języki i zainte- resowanie w krajach, których nie było stać na przekłady, wskazują na szerokie, ogólnoeuropejskie zna- czenie tego zjawiska. Każdy kraj posiadał wówczas swoich Gottsche- dów i Bodmerów, swoje spory o taki czy inny rodzaj rymów, o prawo do fantazji poetyckiej i na- rodowej oryginalności. Poza literac- kimi zagadnieniami kryły się jed- nak sprawy poważniejsze.

Na terenie Polski niezym przy- kładem mogą być fragmenty prze- kładu I i II pieśni „Raju utraczo- nego“ Milтона, które ogłosił Fran- cisek Ksawery Dmochowski, dzia- łać patriotycznego obowu i dobie

ojczyzno moja

wrócić tutaj? — Zatoczyłem ręką krag.

Kłamałem. Wiedziałem, że możemy pójść tylko tam.

— Ale może jednak. Słuchaj — był podniecony, na jego twarzy ukazało się coś co mogło być uśmiechem — gdyby was tam zaprowadzili, znajdź moją matkę, odśzukaj siostrę.

— Jeżeli tam będziemy — odśzukam.

— Pamiętasz nazwisko?

— Pamiętam.

— Tam trudno trafić. Tam nie ma ulic. Domki stoją na wzgórzach lub w małych wgłębieniach terenu, ale jeśli zechcesz, to trafisz, zobaczysz.

Przyrzekałem mu wszystko, a przecież wiedziałem z góry, że niktogo tam szukać nie będę, że nie będzie kogo szukać. Nas zawsze prowadzili na pustkowie bezładne. Jeszcze raz podał adres, jeszcze raz określił, gdzie mam szukać. Nie słuchałem nawet. „Nic mi po twoim adresie!” — myślałem. Tam już nie ma nikogo.

— Gdybyś ich nie zastał, dowiedz się, gdzie są.

— Tak.

— Zapytaj sąsiadów.

— Dobrze.

— A gdyby ich nie było... — Urwał, jakby się sam przeraził tego co wypowiedział głośno i westchnąwszy głęboko dodał: — Gdyby ich nie było, to się dowiedz, kiedy to się stało...

Przytakiwałem mu w milczeniu. Godziłem się na wszystko, jak wówczas, gdy wszechwiedzący godził się, dla świętego spokoju, na wszystko: na możliwe i niemożliwe, na wszelkie głupie i nierozsądne gadanie.

— Postaraj się, ja cię bardzo proszę.

— Ależ człowieku, my wcale nie wiemy dokąd nas prowadzą.

— Ale gdyby...

Wkrótce zeszedliśmy na dół, do bramy i nagle wydało mi się, że tu było najcieplej, najspokojniej wśród tych obcych ludzi i wysokich murów. Liczyli nas, wywoływali nasze nazwiska i obstawili gęstym kordom-

nem. Broll krzyknął donośnie i otworzono bramę.

Wyszliśmy w milczeniu na dzielnicą ulicę obcego miasta. W bliskim słońcu lśniły wilgotne chodniki i jezdnie, niedawno widocznie zmyte wodą. Szliśmy pod światło i blask obity na wilgotnym bruku razili oczy. Zastłonięte były dionia, lecz uderzony kolbą wnet opuściłem rękę.

Domy stojące wzdłuż chodników nie były wysokie, najwyżej dwutrzypiętrowe, dość odrapane i niedzne. Na balkonach stali jacyś ludzie, którzy na nasz widok cofali się w głąb mieszkań: kobiety wychylone z okien znikwały w mroku pokoiów. Patrzyli na nas przechodnie, niecierli zresztą, a myśmy nie szukali wśród nich znajomych: nie było tu bliskiej twarzy, nikt nam nie mógł dać tajemniczego znaku. Również tamci mogli spostrzec, że ulicami ich miasta idą ludzie obcy, niewidziani nigdy, przyglądali się więc nam obojętnie. Szliśmy bosy, pod stopą czuliśmy chłód wilgotnego bruku, lepka maź igneła do nóg. Tylko buty policjantów wystukiwały rytm, który narzucali również nam, bosym, ledwo odzianym. Ponaglali nas nie krzykiem — oni milczeli cały czas, tylko tym stukiem podkutek butów. Ach, jak łatwo bosym narzucił rytm marszu...

Teraz ulica biegła w dół: na naszej trasie zjawiały się obecnie domy niskie, jedno- dwupiętrowe, bardzo zniszczone, pozbawione balkonów. Z mrocznych bram wypadały na chodniki gromady dzieci, które stawały nagle i patrzyły w milczeniu. A myśmy szli i szli. Ukradkiem odczytywałem na rogach mijanych ulic tabliczki z napisami, ale nazwy były zniemczone i o niczym nie mówiły. Szliśmy ulicami, które się nazywały Akazienweg, Gartenstrasse, Alte-Hauptstrasse, ale nic nie wskazywało na to, że tu rosną akacje, lub że kwiaty i ogrody stanowią o charakterze dzielnicy mijanej przez nas...

Miasto skończyło się nagle, bez przejścia ze stanu zabudowy w pustą przestrzeń, jaka się ukazała naszym oczom po wyminięciu muru, za którym tkwił wysoki szczytny

komin, zamarły obecnie. Przed nami pęła się lekko pod górę wydłużona szosa wsparta o skarpe ze stromymi pochyłościami. Po obu stronach szosy, u stóp skarpy, spoczywały pola w pełnym blasku słońca. Już było po żniwach, tylko kartofliska czarnały jeszcze w oddali gęstym krzewem przycupniętym nisko. Weszliśmy na szosę i nagle uskokczyła z niej niewielka dróżka, piaszczysta, wyboista, znać mało uczęszczana. Biegła ona ukosnie, pochyłością w dół, ku wgłębieniu, za którym ukazała się nam kotlinka wymarła i naga, wypalona słońcem, uśpiona w skwarze sierpniowej piosenki. Serce zatargano trwoga. To tu — pomyślałem. Tu nas rozwał: tu — daleko od osiedli ludzkich, od domostw, w ukryciu. Miejsce było puste całkowicie, tedy nikt nie chodził. Na próżno szukałem w piachu śladów kół, stóp. Nic, nic. Pustkowie było przerażające.



Piotr Suchodolski „Powrót z polowania”. Mickiewicz i Sadyk-Pasza w r. 1855. (Miedzioryt w Muzeum Mickiewicza)

Jeszcze niżej, na skraju kotlinki, wąskie ścieżyny wiodły ku olbrzymiemu dolowi, spiętemu ze wszystkich stron spiętrzonymi ścianami kamieniołomu. W jaskrawym świetle słońca ściany wydawały się złowrogie, biły ród nich żar, i cisza tak olbrzymia szła ku nam stamtąd, że niezmacona niczym stawała się uroczystą, jak cisza śmierci, spotęgowana powstrzymanym oddechem i stłumionym słowem. Z samego dna kamieniołomu, wijąc się, wymykała się droga ubita, kończąca się w zupełnie innej stronie aniżeli ta, którą przybyliśmy tutaj. Tą trasą wyjeżdżały widocznie kiedyś wozy czy samochody wywożące kamień surowy i biały. Staliśmy na dnie kamieniołomu, otoczeni ze wszystkich stron stromymi, strzelistymi ścianami. Gdy unieśliśmy głowy ujrzelśmy na krawędzi, odcinającej się ostro od spokojnego błękitu nieba liche trawy porastające kępami podarty brzeg kamiennej kotliny. Ku naszym stopom biegly od tej krawędzi popękane ściany o nieregularnym rysunku i wystrzęsionych zrębach. Ale tam, u góry, poza krawędzią, leżały niewidoczne stąd rzyska, spaly kartofliska. Do szczęścia potrzebne było kiedyś tylko rozpalone ognisko w polu, kartofel pieczony w dziurawym garnku wypełnionym

żarzącymi się suchymi drewienkami... Garnek utwierdzony do drutu trzymanego w dłoni, obracał się szybko, żar nie wygasiał, kartofle woniały polem, badyłem, wiatrem. Małe chłopięce swawole, małe chłopięce szczęście... Kiedy to było? W jakiej stronie świata? Na którym z pól mojej ziemi ojczystej? Nad jaką rzeką o rozbełtanej wodzie? Ach, dzwony, dzwony. wieczorne...

Broll znów nas obliczył. Zgadzało się. Było nas trzydziestu. Obecnie przypomniał nam głosem gromkim i surowym, tak okrutnym w brzmieniu, jak okrutnym być może jedynie głos znieprawionego wroga.

— Ktokolwiek powie słowo o tym, co tu widział, lub ten, co ukradnie tu cokolwiek, ten znów tu wróci, aby stąd już nie wyjść.

Ręką zatoczył szeroki łuk, jakby chciał ogarnąć głębie kamiennej kotliny i bezmiar nieba spoczywającego nad nią.

Kazali ruszyć i obecnie wyprowadzi nas z kamieniołomu, ale nie ścieżyną, którą zstępowaaliśmy niedawno w głąb, tylko tym szerokim traktem, służącym wozom do wywózki kamienia. Trakt ów nie wspiął się stromo: wiał się raczej zakolami, łagodnie występując ku wzgórz, skąd znów ujrzelśmy szosę, którą szliśmy niedawno. Ale gdy

obozów. Dawni mieszkańcy wracali tu chętnie: bowiem tylko tutaj, wśród pól, za miastem mogli hodować swoje króliki, trzymać kóz, dla której nie było w mieście miejsca, ani pokarmu, jaki tu był latem za darmo.

Weszliśmy w to nędzne osiedle, między domki ustawione na pagórkach i wśród niskich dolów i krążąc wśród zapudowań ledwo mogliśmy dostrzec zarys jakiejś uliczki czy placu. Chciałem odnaleźć domek, w którym mieszkała rodzina nauczyciela, ale w żaden sposób nie mogłem się rozeznać wśród splecionych prześię zarosłych traw. Nauczyciel mówił mi o jakimś przejściu z prawej strony, ale myśmy nadeszli od strony kamieniołomu i wszystko mi się pomieszało. Nie było zresztą czasu na szukanie. Broll rozbił nas na grupy, a spostrzegłszy, że nory są niewielkie, kazał je opróżnić pojedynczym ludziom. Każdemu przydzielili jedną norę: po jej opróżnieniu każdy z nas miał przejść do następnej. Graty wyrzucane z domostw miały więc na skraj osiedla, gdzie wśród traw i burzawian widniały niewielkie placuły o popękanej gliniastej barwie, który najpewniej służył kiedyś stałym mieszkańcom tego skrawka, jako miejsce gryzisk sportowych.

Wywlekłem nędzne łóżka, sienne, trzęsące się komody, stoły. Niewiele było w tych mieszkaniach do wynoszenia, i co mnie dręczyło, to pragnienie ustalenia, kiedy wprowadzili ślad na śmierć nieszczęśliwych ludzi, którym te graty służyły kiedyś — ale kiedy? W pierwszej norze nic nie wskazywało na ślad niedawnej obecności ludzi, ale już w drugiej, do której wszedłem po minięciu niewielkiej drewnianej sionki, rozwiązałem zagadkę.

Jeszcze wczoraj byli tu ludzie. Na piecu wystygłym zupełnie stał garnek, czarny, przysadzisty, garnek nakryty papierem, który zeszeł się, pozółkł i miejscami odchodził płatami odsłaniając pokrywę o niebieskiej barwie. Zdarłem papier, zdjąłem pokrywę i zająłem do wnętrza. Garnek wypełniony był po brzegi brunatnymi kartoflami, sobotnią potrawą Żydów, którzy piekli swoje „czulent” w żarze pieca rozpalonego jeszcze w piątek, zanim nadszedł święty szabas. Wyjęto je właśnie z pieca, sposobiono się właśnie do spożycia nędznego posiłku, gdy tamci weszli i garnek pozostał na wierzchu, na blasze pieca, który już był wystygł zupełnie.

A więc jeszcze wczoraj... A więc znów powtórzył dawne praktyki. Wczoraj wywieźli ludzi, a dziś sprowadzili nas tu po to, aby wnet po wysiedleniu opróżnić osiedle... Jak długo będzie to trwało? Jak długo będziemy grabarzami gratów, rzeczy, pamiątek po ludziach zamordowanych? okrutnie? Może jutro znów znajdziemy się w kamieniołomach, ale tym razem już po to, aby po raz ostatni spojrzeć ku niebu nad krawędzią kamiennych ścian, porosłych u szczytu kępami trawy spalonej słońcem?

W norach opróżnianych przeze mnie, znajdowałem wszystko co mieściło się w gettach znanych nam miast: jakieś strzępy ubiorów, które kiedyś okrywały czyste ciało; jakieś rozdarłe świstki, które były kiedyś dokumentem czy świadectwem, odkrywającym w wysuniętych szufladach jakieś fotografie, na których wszyscy ludzie podobni byli do siebie. W każdej fotografii były znane mi oczy, znane tylko mnie, nikomu więcej na świecie, jedyne oczy... W tej izbie leżała na stole stara hebrajska księga, zdarta i pozółkła, oprawiona w skórę miejscami tak wytarta, że się już strzępiła podłużnym, gęstym włóknem. Rzuciłem na nią okiem: „Wyjdźcie i spojrzcie”. To księga modlitewna dla kobiet. Wyniosłem księgę na dwór wraz ze stołem, który na uroczysty „szabas” nakryty był obrusem wyszywającym kolorowymi niciami. Znow wrociłem do środka. Również i w tej norze odkryłem na piecu garnek z sobotnimi kartoflami, niektętny, szczerlnie owinięty w pozółkły, zeschnięty papier, który popękał miejscami w żarze. Na ławie tkwiącej między ścianą a otwartymi drzwiami leżała książka. Gdy ją wzięłem do ręki, wiedziałem... Nie musiałem nawet podejść do niewielkiego okienka, aby przy nikłym świetle przekonać się, że na karcie otwartej książki, pozostawionej tutaj przez nieznane go człowieka, widnieją pierwsze słowa:

Litwo! Ojczyzno moja!

Kto uciekał stąd, z tej kamiennej pustyni w godzinę śmierci do Litwy wszystkich ojczyzn, do tej księgi zniszczonej, o podartym grzbiecie, bez okładki, bez oprawy, bez ozdób? Kim był człowiek, którego z Litwy tęsknot i marzeń, na chwilę przed spożyciem postnych kartofli wrwał z granic nieustannej tęsknoty głos SS-mana, wkraczającego tu po to, aby spieszenie zliczyć obecnych przeznaczonych na transport? „Wyjdźcie i spojrzcie” nazywała się jedna księga, lecz co ujrzał człowiek, owa kobieta posłuszna rozkazowi, by „wyjść”. Co „ujrzała”? I kto jej towarzyszył? Syn, córka, matka, przebywający w „Ojczyźnie mojej” zamknięci wraz ze skazańcami w kamiennej pustyni otoczonej żyznymi polami?

Trzymałem księgę oburącz i rozejrzałem się wokół i wtedy pomyślałem, że niepotrzebnie szukam

odwrócił się, przed nami w oddali widniało osiedle. To było to osiedle.

Już z dala poznaliśmy, że ono było wymarłe, bezładne, opanowane ciszą, jaka wisi nad pustkowiem, w którym nie ma żywych ludzi. Znalizmy też ciszę. One się nam powtarzały nie w uszach — w sercach, po raz trzeci. To było trzecie getto, które opróżnialiśmy.

Wiedli nas ku temu osiedlu bez pośpiechu. Otoczone wokół polami, z których zebrano już plony, tkwiło ono w blasku słońca poszczerbioną linią, rozdartym zarysem, łamanym rysunkiem niewielkich domostw, ledwo wyrastających ponad równinny poziom łąk i pól. Domki były z polnego kamienia, łazzonego z rzadka cegłą, kryte papą, ale jeszcze częścię płatami zardzewiałej blachy, ozdobione znakami nędzy i biedy — kominem z wiadra wyrównanego do góry dziurawym dnem. Lekkie dachy gnioty swym ciężarem glazy i kamienie, by wicher szalejący w tym otwartym miejscu nie zerwał pokrycia.

Nie znałem tego osiedla, ale znam t a k i e osiedla. Powstawały one samorzutnie, bez planów, na krańcach miast, wznoszone przez biedotę i nędzę miejską, przez bezrobotnych i bezdomnych, z niczego; z kamienia, z przypadkowego materiału o którym wolno mniemać, że zastąpi właściwy, prawdziwy, ale mizerne to mniemanie, a nadzieja na trwałość — krucha. W takich norach mieszkali nędzarze, złodziejaski, żebracy, rakarze, producenci klatek na ptaki, wytwórcy gołębników sprzedawanych na jarmarkach, twórcy sztucznych kwiatów, hodowcy królików, łowcy jaszczurek i żółwi... Nory te rtyro głęboko w ziemi, wzdłuż przejęć, które nigdy nie były ulicą, wzdłuż przemyków, które nie widziały bruku. W czasie deszczów i roztopów wody wraz z białym wdziarały się do nisko położonych nor, nazywanych izbami... Zimą wichury zrywały dachy, wyciągając liche ciepło wszystkim szparami. Tu rodziły się dzieci, tu ludzie umierali, tu odbywały się krwawe rozprawy nożowników.

Skwar sierpniowego południa łupał kamienną pustynię cichą i martwą. Wiedzieliśmy już co nas tu czeka, szliśmy więc ku tym norom z jedną myślą: kiedy to nastąpiło? Kiedy opróżnili to miejsce? Kiedy wywieźli stąd ludzi, po których zostały jakieś graty, niewiele znaczące i niewiele warte, czekające na nas, abyśmy je uprzątnęli. Po nas, w ślad za nami, mieli przejść przez ten teren policjanci, którzy w pustych mieszkaniach już bez gratów, stołów, skrzyń, łóżek i szaf opukiwali ściany i podłogi w poszukiwaniu ukrytych skarbow. Dopiero po pieczołowitym zbadaniu ścian, hitlerowy pozwalał danym mieszkańcom wrócić do nor, z których ich wygnano na krótko: na ów okres potrzebny do ujęcia wszystkich przeznaczonych do komór lub

KUBACKI

DO NIEMCÓW

upadku państwa polskiego, bliski współpracownik Kollataja i Koścusiuzki. Dmochowskiego przekład Miltona był zresztą zamaskowaną pochwałą buntu przeciw feudalnej tyranii i pochwałą walki o wolność. Po tej linii poszedł wybór fragmentów i praca tłumacza, który amplikował, podkreślał i zaostbrał odpowiednio zwroty i wyrażenia oryginalu. Ostrze angielskiego eposu religijnego obrócił tłumacz przeciw imperium rosyjskich carów.

„Messjada” Klopstocka była podobnym przykładem symboliczno-literackiej rewolucji. Przygotowujące się w XVIII wieku przeobrażenie feudalnego świata dało znać o sobie in loco minoris resistentiae, w tzw. dziedzinie nadbudowy ideologicznej, co więcej w najdrażliwszej sferze tej nadbudowy, w kręgu utartych wierzeń religijnych. Zanim obalono absolutną monarchię na ziemi, autorzy Messjadi i apokryfów targnęli się na hierarchiczne stosunki panujące w zaświatach. Według oficjalnych teologicznych poglądów charakter buków niebieskich i piekielnych zastępów został od wieków ustalony raz na zawsze. Nauka o upadku i zbaśnieniu człowieka stała się podstawowym dogmatem religii chrześcijańskiej. Spekulacje gnostyckie, wczesnochrześcijańskie i średniowieczne apokryfy, teologiczno-filozoficzne spory czasów Reformacji oraz więszowane świeckie powieści religijne, jakimi są Messjadi, stanowią w ciągu wieków opozycję ludowego realizmu, psychologicznego dynamizmu, moralnego optymizmu i humanistycznej wielkołudości przeciw statycznej nauce i dogmatycznym abstrakcjom Kościoła.

„Lesst uns das Bild der Gottheit von neuem im Menschen erschaffen” — powiada humanistyczny Bóg Ojciec Klopstocka. A Syn Zbawiciel dokonuje dzieła odkupienia świata „w swym człowieczeństwie” („in seiner Menschheit”); współczuje ludziom, lęka się, walczy ze sobą i cierpi, jak prawdziwy człowiek. Dokonane w „Messjadi” odkupienie przekracza szranki kościelnego dogmatu. Wspaniałomyślnie serce Klopstocka chciałoby zbawić wszystkich potępionych. Poeta miłosiernie otwiera bramę niebieską nawet przed upadłym aniołem. W swych gnostyckich - teozoficznych perspektywach „Messjada” Klopstocka jest humanistycznym dziełem o odnowie świata i „wielkim pojednaniu” ludzkości („die grosse Versöhnung”).

Ludowy, rewolucyjny apokryf i symboliczny, humanistyczny sens dzieła — to były niewątpliwie

punkty styeczne między Klopstockiem i młodym Mickiewiczem. Rewolucyjne elementy wierzeń ludowych znajdowały się już w „Balladach i romansach” Mickiewicza. Niebawem zaś w ramach ludowego obrzędu religijnego stworzył Mickiewicz arcydzieło polskiego dramatu romantycznego pt. „Dziady”. W III cz. „Dziadów” — czy jak my je nazywamy w Drezdeńskich Dziadach — ujawniło się w pełni to, co mówilem o roli filozofii Schellinga w romantyzmie. Racjonalizmowi oświeceniowego absolutyzmu przeciwstawił się idealizm romantyków. Materializmowi i wolterianizmowi — naiwna ludowa wiara i entuzjazm patriotów. Papier jako władca państwa Kościelnego, błogosławił krzyżem politykę miecza, jaką wobec Polski prowadziły mocarstwa rozbirowe. Nic tedy dziwnego, że patriotyczna potrzeba serca i tęsknota za idealną sprawiedliwością przesunęły sprawę przegranej na ziemi do liberalnej instancji zaświatowej, jaką we wszystkich czasach w stosunku do religii urzędowej były misteria. Postawie Mickiewicza, odwołującego się do wiary ludu, odpowiadały laickie formy mistyki, niedogmatyczne i nieprawowierne koncepcje teozoficzne. Mickiewicz czytał „Fausta”. W 1829 r. widział nawet jubileuszowe przedstawienie „Fausta” w Weimarze. Nic jednak nie łączy dramatu Mickiewicza z dziełem Goethego. Natomiast istnieje niewątpliwie, choć tylko najogólniejsze, związki między „Dziadami” a francuską i niemiecką teozofią epoki oraz ówczesnymi ruchami o socjalno - moralnym, z zasady antykościelnym, charakterze. Dlatego w naszym wypadku pietystyczne apokryfy w rodzaju „Messjadi” Klopstocka, mistyczne medytacje Schellera i teozoficzne spekulacje Boehmego są ważniejsze dla zrozumienia religijno - moralnej atmosfery III cz. „Dziadów”, niż filozoficzny dramat Goethego. Przy sposobności „Dziadów” dodajmy, że w tworzącym procesie Mickiewicza pewną rolę nastrojową i kompozycyjną odegrała również operowa muzyka niemiecka: w zachowanym fragmencie I części „Wolny strzelec” Webera, a w III części „Wesele Figara” i „Don Juan” Mozarta.

Kiedy już jesteśmy przy Klopstocku, warto nadmienić, że Mickiewiczowi mogły być bliskie takie cechy jego twórczości, jak uczuciowość, prostota, gorący patriotyzm i kult bohaterstwa. Widzę też pewną zbieżność charakterystyczną zresztą dla całego romantyzmu europejskiego, w poszukiwaniu typologicznych paralel, między współczes-

snością i starymi dziełami narodu: Klopstock, jako autor „Bardię oder Hermannschlacht” i Mickiewicz jako autor „Konrada Wallenroda”. Osobne, ciekawe zagadnienie to sprawa zbliżeń formalnych, zagadnienie kształtowania nowego typu mowy poetyckiej i eksperymentów wersyfikacyjnych np. próby wskrzeszenia heksametru. Zagadnienie skomplikowane, bo w tym wypadku mogły się krzyżować podniety bezpośrednio płynące z lektury Klopstocka z podnietami, czerpanymi z dzieł takich genialnych uczniów Klopstocka jak Goethe i Schiller.

Stosunek Mickiewicza do Goethego i Schillera wymaga również nieco innego oświetlenia. To nie były poetyckie wzory dla Mickiewicza, to były ideowo - artystyczne podniety. Stąd ta dziwna dla filologów niewspółmierność: sumie zachwyty Mickiewicza nad utworami niemieckich twórców nie odpowiada suma tekstowych zależności, reminiscencji czy podobieństw. W stosunku Mickiewicza do obu wielkich twórców niemieckich widzimy pewne podobieństwo. Spróbujmy je scharakteryzować. Nazwiska Schillera i Goethego użnał Mickiewicz za bojowe hasła polskiego romantyzmu. Dlatego powoływał się na nich w „Wych programowych wystąpieniach. Daremnie przecież szukać w teoretycznych wstępach i literackich szkicach Mickiewicza głębszej ich charakterystyki lub podparcia mechaniki dzieła. Miał swe własne „sekrety” i od wszystkich pisarzy żądał, żeby byli sobą. Chętnie jednak, jak każdy humanista, szukał poetyckich druhów. Hold oddawał towarzyszącej swojej twórczej drogi w dwójki sposób: przekładając ich utwory i — ulubionym zwyczajem romantyków — wybierając z ich dzieł motto do własnej twórczości. Z Schillera przełożył lub przerobił: „Punschlied”, „Licht und Wärme”, „Amalie”, jedną zwrotkę „Jüngling am Bache”, balladę „Hands Schuh” i dwie sceny z I aktu „Don Carlosa”. Z Goethego: „Die Spröde”, „Der Wanderer” i „Mignonlied”. W tekst II części „Dziadów” wkomponował „Amalie” w tekst IV części „Amalie” i ostatnią zwrotkę „Der Jüngling am Bache”. Za motto do rewolucyjnej „Ody do młodości” wzięł słowa Schillera z „Der Antritt des neuen Jahrhunderts”: „Und die alten Formen Stürzen ein”. Przynajmniej, że te słowa wyrwane z kontekstu i użyte jako motto, czyli jako ideologiczna i kompozycyjna formuła dzieła, nabrały ostrzejszego blasku

k którą wiele nacierpiał się, potem znów na senność i ociężałość. Ten stan znówniejszy był, jak zmian-kuje, niż stan tak długiego roz- drażnienia, które go dręczyło. Po- jawiają się nawet pogłoski o śmier- ci poety, zaniepokojony nimi poc- ciwy Irlandczyk, John Leonard, od- wiedza Mickiewicza w Bibliotece Arsenatu. Nie zastawia poe-ty, zo- stawia kartkę, w której przeprosza i wyjaśnia całe nieporozumienie. Odpowiedzia na to jest list Mickie- wicza utrzymujący w żartobliwym tonie. Ale kryje się w nim jednak dość gorzkiej ironii. „Otoż, prosze Pana, niedługo nie widziano, by duch chodził do urzędu pocztowe- go, by odbierał tam listy i by wła- snoręcznie w białym dzień rzucał je do skrzynki. Ide właśnie to wszyst- ko robić i w ten sposób stwierd- zanie, że to jest list Mickiewicza, ponownie moje prawa do zalicza- nia mnie między żyjących”.

W otoczeniu Mickiewicza zaczął odrywać wtedy dużą rolę niejaki Lenoir — Zwierkowski, jeden z licznych agentów politycznych księ- cięcia Adama Czartoryskiego, który mimo osiemdziesiątki nie rezygno- wał z kierownictwa politycznego e- migracji. Zwierkowski, przybra- wszy sobie jako agent z obca brzmia- cy pseudonim, pracował od nieci- u lat w wydziale wschodnim Hotelu Lambert. Przez pewien czas dzia- łal w Serbii, stamtąd przeniósł się na Kaukaz, gdzie zetknął się ze słynnym przywódcą Czartkiew- ów, walczących z carską Rosją — Sz- amilem. Należał do niebezpiecz- nych — trzeba było przynajmniej z- wolenników szturmu Sadyka Paszy i przez długi czas korespondował z jego żoną, Ludwiką Śniadecką. „Ja char- mante Ludka”, którą zapewne pa- mieć Adam z Witną jako córkę znokamiętego medyka, profesora uni- wersytetu Jędrzeja, „cyrulika” jak go określił obywatelstwo okolicz- ne, edw kupił od podkomorzego no- wogrodzkiego Wereszczaki małatek Bołtu w osmiuśmiu powiecie.

Zwierkowski namawiał gorąco i nie bez sukcesu Mickiewicza do wy- jazdu na Wschód. Miał w tym swo- je wyrachowanie, chodziło tylko o zgodę poe-ty, który wymawiał się brakiem środków finansowych. Sko- ro i te przeszkody usunięto, czeka- no tylko na zezwolenie ze strony rządu francuskiego. Zwierkowski sądził, że autorytet osobisty poe- ty pomoże w jakiejś mierze do po- godzenia zważnionych stronników księcia Adama — hr. Zamovskiego, który swe plany onierał na soju- szach dyplomatycznych i wojsko- wych z aliantami oraz Sadyka Pa- szy, nadającego głównie swe nadzienie w szabl, w jakimś kaw- alerystycznym rzadzie kozaków z Dohru- dzy na Ukrainę do rodzinnego Hal- czynia. Ten eksportownik wołyń- skiego pułku jazdy wstawione go w bojach, powieściopisarz i działacz polityczny, od piętnastu lat agent księcia na Wschodzie, zdradzał nie- wiatoliwie w ostatnich czasach prze- jawy warcholstwa, nie przestając zapewniać swego zniedołężniałego mocodawcy politycznego o synow- skim przywiązaniu. Mówił to na pewno szczerze, jak i wszystko, czynił szczerze, ale bez głowy. Dla niego programem politycznym była tzw. przepowiednia Wernyhory: „Rosja jak koła rozchukany pomknę się w głąb Turcji, lecz potem się

Turcja pokrzepi, Polacy zaczną po- stawiać... Przyłączy się do Pola- ków Turczyn i Anglik, pójdą przez Kijów... i w końcu powitają Mo- skale Polaków jako braci, z nie- przyjaciół zrobią się przyjaciele... Polski kraj zostanie w dawnych granicach za pomocą Turków i An- glików...” Trudność była tylko w tym, że pomimo wysiłku patriotów polskich Anglii wcale nie myśleli o Polsce. Sprzedali ją po prostu za sojusz z Austrią, która do tej pory wraz z cesarzem Franciszkiem Józefem zapatrzona była w Rosję. Zaś pobyt Zamovskiego na Wschod- zie, usiłującego stworzyć polskie siły zbrojne kosztem oddziałów Sa- dyka, wzmógł antagonizmy między Hotelem Lambert a porwycym ge- nerałem tureckim, antagonizmy, które nadaremnie starała się za- łagodzić jak mogła Ludwika w swych licznych listach - rapor- tach docierających z domu nad Bosforem do Paryża.

W takich warunkach misja poli- tyczna Mickiewicza właściwie była z góry skazana na niepowodzenie,

a na domiar poe-ty nie lubił wynio- słego hrabiego, który mu już przed laty, we Włoszech, usiłował po- kryżować plany. Niemniej jednak Wschód niecił poe-ty; z lektury Goe- thego i Byrona wyniósł zaintereso- wanie nim, czekał więc podniecy- on na wynik starań. Książę przy- czynił się do uzyskania płatnego ur- lopu dwuletniego, ministerstwo o- światy także przyszło z pomocą, u- możliwiając w dużej mierze ten wy- jazd. Poe-ty był wtenczas na waka- cjach w Fontainebleau, wrócił po- śpiesznie do Paryża jak się tylko o tym dowiedział. Był pełen podnie- cia i energii. Nadchodził na poe- tów — jak się wyraził — czas bu- dowania z ostruganych przez nich belek, ociosanych głazów i wypo- lonych cegieł — tego, co oni tym materiałem w natchnieniu dotąd wyśpiewywali. Córka szła na gwałt sztańdar z Orlem i Pogonią. Mic- kiewicz cieszył się zakupami i po- kazywał wszystkim obozowy na- miot, który za poradą famulusa Henryka Służalskiego zakupił w Bazar de voyages. Książę Czarto-

ryski, z którym Mickiewicz był na ogół w jak najlepszych stosunkach, uroczyście pożegnał odjeżdżających, podkreślając tym samym donio- śłość wyprawy. tym więcej, że ja- ko towarzysza dodał Mickiewiczowi swego młodszego syna, Władysława. Owo pożegnanie było to zresztą po- myśł zapobiegliwego Zwierkowskie- go: „Trzeba, aby ten pakt Mickie- wicza z naszą polityką, z naszą przewodniczącą Rodziną, uderzył imaginację Emigracji i kraju, roz- stroił robotki menderów i pokre- pił politycznych przyjaciół Księcia”.

Wyjechali przez Marsylię, z Mar- syli wzięli, z miast nadmorskich Francji, z Maroka i Algieru wy- jeżdżających żołnierze przywiekli na Wschód zaraze.

Przedtem, nim nastąpił wyjazd, Mickiewicz skreślił list do Tomasza Zana, przyjaciela młodości, przeby- wającego w Kochanowie pod Mo- hilewem. List pisał ogólnie i przez osoby trzecie nie chcąc narażać a-

dresata. Pełno więc w nim — ła- twych do rozszyfrowania — aluzji. „Donoszę tobie, wiele szacowny i kochany Panie, że zdrow i ro- dzina moja liczna ma się dobrze. Rad bym był szeroko rozpisywać się i o sobie, i o drugim, ale u- ważam, że niepotrzebnie zajmował- bym ciebie powtarzając to, co wiesz dobrze o tym interesie familijnym, który mnie od tak dawna zatrudnia i którego końca jeszcze nie wi- dać... W tym to interesie wypadnie mi znowu podobno daleką podróż przedsiębrać”.

Mickiewicz pisał, że słowa nie wiedział o jednym. Zan już nie żył. Umarł przed paroma tygodniami, latem 1855 r. i ta wiadomość o je- go śmierci nie doszła jeszcze z da- lekiej Białorusi do Paryża. Mic- kiewicz w liście wspominał także o wspólnym przyjacielu, Janie Cze- czocie, tym białoruskim Kolhergu, uważanym kiedyś przez samego poe- tę za zdolniejszego od siebie, który zm rł zapomniany żyjąc na łaskawym chlebie. Wraz z myślą o Zanie i Czezcocie powracały przy- pomnienia młodości i wizja kraju na północy, w którym jesienią czer- wieni się jarzębina i gęsto opada- ją złote liście.

Z Marsylii pisze Mickiewicz do Henryka z Ankwiców Kuczkow- skiej 13 września 1855 r.: „Odebra- łem przed kilku dopiero dniami polecenia naukowe od rządu, tyczą- ce się Wschodu, a dziś już wsia- dam na okręt, płynący do Stambu- lu. Jak długo tam zabawię, nie wiem jeszcze”.

W przeszło trzy miesiące później, w Stambule, „od rana, mimo posep- nei i dżdżystej pory, groma- dzić się zaczęły tłumy w ulicy, z której miał wyjść kondukt pogrze- bowy. Ulica się zapelniała, zapelniały się i ulice przyległe. Gdy wóz ruszył, poszły za nim gęsta ciżba tłumy niezliczone, złożone w ośmiu dzie- siątej części przynajmniej z Bułga- rów. Czerniejąc się zawoami czarn- ymi i czerwieniąca fezami lawi- na ludzka płynęła w ulicach ci- snych, posuwając się powoli za karawanem, który otaczał mi, a eskortowała z bronią pochyloną i kirem osłoniętą niechota z dwi- zli Zamovskiego. W orszaku lic- nie reprezentowani byli Grecy. rów- nie jak wszyscy nówym Balkański zamieszujący Słowianie...”

Na Perze z wychodźców jeden, były uczeń gimnazjum lwowskie- go czy przemyskiego, nazwiskiem Podgórski, założył sklenik jubiler- ski. Wiodło mu się nieźle. Spoważ- niał; poważnie zwłaszcza wywadał, gdy się przechodniom prezentował w natofkach czerwonych, w szla- roku wytwornym i w aksamiłnej ze złotym kutasem czapczecze. W po- staci tej sprezentował się nam, gdy- śmy mimo skłenu jego, towarzysząc karawanowi, przechodzili. Widok Polaków tyłu zadziwił go. Szedł obok krawca Chajmowskiego. Pod- górski zawołał na nas i:

— Kogo to chowają? — zapytał.

— Mickiewicza.
— Jakiego to Mickiewicza?
— Nie wiesz?
— A! — odrzekł przewlekłe — wiem... wiem... — generała tego...
— podaje w swych wspomnieniach T. T. Jeż.

*

Jakiego to Mickiewicza znamy? Pisano o Nim wiele, pisano o czło- wieku i pisarzu. „Życie ludzkie jest kartką w środku książki — powiedział kiedyś — żeby ją zrozumieć, trzeba wiedzieć, co było na kartkach po- przednich”. Żądał więc sam spoj- rzenia pełnego, ogarniającego cało- kształt działalności człowieka, w którym się mieszcza zarówno zwy- cięstwa jak i klęski.

Jeśli jest coś wielkiego w Nim to właśnie fakt, że pozostał w na- szych oczach żywy, zawsze piomien- ny, a życie Jego jak romans praw- dziwy, nieskłamany w niczym po- maga nam zrozumieć trudne drogi człowieka w historii od której za- leży, ale i którą przekształca. Sam brnął po omacku ku zrozumieniu czasów nowych. Czyż nie wołał do studentów, którzy go odwiedzili pod przewodnictwem Waleriana Mro- wińskiego: — „Przyszłość... W lu- dzie, panowie! Praca nad ludem — to pierwsze. Zburzyć mur chiński, który nas dzieli na stany. Lud, to przyszłość, to zadanie młodzieży”. Mówił to przecież w roku 1855, ro- ku śmierci. Już w Stambule, roz- mawiając ze starszym koczarką powiedział z głębokim wzruszeniem do otaczających go Polaków: — „...A my we frakach i rękawicz- kach mamy czoła i pretensje prze- wodniczyć ludowi, który w nas ani nic narodowego nie widzi, ani już i języka naszego niewiele rozumie!”

Właśnie w tym tkwi Jego wielkość, że nie zasklepił się w poglądach, że może nawet błędąc szukał tych, które prowadzą ku przyszłości. Był poe- tą, nie uczonym, więc i Jego prawdy są prawdami poetyckimi, a Jego wielkość przede wszystkim wielkością pisarza. „Cóż to jest człowiek wielki? I czemu jest wiel- kim? — pytał w czasie wykładów paryskich, dając jednocześnie taką odpowiedź: — Oto, że każdy z nas małych postrzega cząstkę siebie w jego wielkości”. Niewielu ze współ- czesnych rozumiało to, może Wor- cell, może Krasinski. Mickiewicz był bowiem na tle pokolenia szla- checkich rębajłów i politycznych marzycieli postacią wyjątkową. Był jednym z nich, ale o ilez głębiej przeżywał rozterki swojego czasu, o ilez głębiej sięgał w przyszłość. Z polityków mógł się z nim tylko równać pod tym względem Stani- sław Worcell. Ale wielkość pisarza polega na tym, że nie zamyka się on w prawdzie tylko jednego poko- lenia, dla którego tworzył i że jest wyższy swymi dziełami ponad współczesność, w której żyje.

Prawem naszym, nawet obowiąz- kiem — współcześnie żyjących — jest ustalenie swojego stosunku do Jego wielkości. Abyśmy mogli od- powiedzieć kiedyś z poczuciem du- my, że takiego Mickiewicza znamy, który dla nas jest „wszystkim dla wszystkich”.

Lesław Bartelski

Prawo żyjących

(Dokończenie ze str. 1)

JANINA BRZOSTOWSKA MICKIEWICZ Fragmenty poematu

I

Nie bylam pośród ludzi, którzy ciebie znali,
patrzyli w twoje oczy, dłoń twoją ścisłali —
ale jestem wśród wszystkich, którym twoje słowo
jest wciąż nową miłością i wielkością nową.

II

Wejść w dom poezji twojej może każdy człowiek,
bo o człowieku zawsze w dziele swym pamiętasz.
Potrzebne są twoje pieśni jak chleb i jak zdrowie —
jak promień światła — oczom, dziecku — elementarz.

III

Cóż znaczy ony Parwz?
W dalekich Płuzynach
noc przychylnie ramieniem otula pierś ziemi.
Tu, nawet gdy z druhami spotkasz się miłymi
powtarzanie tych samych, serdecznych wspomnień
boli bez miary.

W ojczyźnie — wiesz to — łaża rzeczek nas uszczęśliwił.
Zwyciaży uśmiech łatwo serce uspokoił.
Tu, na chętnie, szczęście nawet jest nieswoje;
gniewa i dziwi.

Czasami, kiedy w progi wejście przybysz z kraju,
dobrze jest w jego słowa miłować się wdychać;
znajome w nich akcenty śpiewnie podzwaniają,
jak wołanie dziewczyny, gdy na łące wianuszek
Wilię przepływa.

V

Na przedmieściu Batignolles
domek z ogrodem.
W ogrodzie
własną ręką posadzona jarzębina
o listkach delikatnych, korze płowej,
o korach — jak na odpust — purpurowych,
ojczyznę przypomina.

A w ojczyźnie — najmiłsze chwile.
A w ojczyźnie — najgłębsze niedole.
Przypatrz się, przypatrz tym chwilom,
rankom i wieczorom nad Wilią —
bo dziś — inna już losów kolej.

Trzeba wyrósć nad własne cierpienia,
nawet nad cierpienia narodu.
Trzeba dojrzeć ludzkość całą,
aby nie była za małą
miłość,
której życie się oddało.

VIII

Głosu twojego nikt z żyjących już nie usłyszy:
nie zostało nawet echo najcisze...
Lecz twoje słowa nie zagasną w martwej ciszy —
niosą się jak oddech gromów na wicherze.

Czas się cofa i wpatruje w zachwycie
w nieśmiertelnej twojej poezji urodę.
Ona idzie razem z nami przez życie,
pełna blasku i gorąca jak młodość.

Doczekała chwili szczęśliwej,
że pod strzechy zabłądziła wieńcizna...
To twój wielki triumf nad śmiercią,
to twój wielki triumf nad czasem.

Trojaka opisowość „Pana Tadeusza“

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Co do kilku autorów wymienio- nych mamy bezpośrednie dowody, że Mickiewicz ich czytał, co do in- nych — dowody pośrednie. Z całego tego kręgu tylko o Koźmianie tu i ówdzie spotyka się wzmianki. Tak- że nie rozpatrzono stosunku Mic- kiewicza, ograniczając problem tylko do Woltera, do współczesnych mło- doci poe-ty poematów heroicomicz- nych, jak Rajmunda Korsaka „Bi- bejda czyli Ganniec” (1816), Ferdy- nanda Chotomskiego „Pojeńdek” (1818), „Zaloty” (1819), „Podróż” (1821), J. Franciszka Królikowskiego „Sufieros”.

Poematy opisowe w latach szkoły literackiej Mickiewicza to przede wszystkim Jakub Delille, jego „Ogrody” (przekładane przez Kar- pińskiego), „Ziemiann” (tłumaczony przez Felińskiego), „Trzy królestwa natury” (we fragmencie przełożone przez F. S. Dmochowskiego). Wszy- stkie te poematy mocno oddziaływały na technikę artystyczną polskich poematów opisowych, zarówno u pseudoklasyków, jak pisarzy senty- mentalnych. Mickiewicz również o nich pamiętał, w wypowiedziach poe-ty posiadamy na to dowody.

Ideologiczny sens tradycji deli- lowskiej i jej polskiej recepcji bez większego trudu dają się odczytać. Pochwała wsi, gospodarstwa i na- tury urządzonej przez człowieka — to artystyczny odpowiednik fizjo- kratyzmu. Pochwała postępu w go- spodarstwie rolniczym i pochwała wsi jest u Delille'a pochwałą fizjo- kratyczną, powtórzoną przez pseu- doklasyków polskich ziemian i poetów.

Świetniejszym tu się wyda kunszt roli szczęśliwej; Spiewam nie jego prace, ale jego dzieła, Najmilsze przedsięwzięcia i najtrudniejsze dary.

A dłoń jej, rozspijając wszędzie płon bogaty,
Miesza czasy i miejsca, i pory, i światy.
Gdy się ją pierwszy człowiek do pola uprawy,
Tej sztuki pierwszej obce mu były ustawy.

Ślepy na własność gruntów, na ich położenie,
Nieroztropną łm ręką powierzał nasienie,
Czas uważniejsza jego uczynił siwiznę,
Każdy grunt miał swe ziarno, każdy szczerp ojczyznę.
Ty się wznieś jeszcze wyżej przez pracę i zrzeczność
Popraw samą naturę, zwycięż pół niewiedzierność.

I w dalszym ciągu pisarz fran- cuski daje po prostu przepisy wła- ściwego nawożenia pól. Mickiewicz nie był bogatym ziemianinem i nie miał powodu, aby w rymie zale- cać porządek posiadanej gospo- darstwa. Mimo to pomiędzy tęskne w tonacji wrzusu, samodzielną w sposobie przesuwania krajobrazów wersety początkowe pierwszej księ- gi „Pana Tadeusza” mieszały się akcenty pochwały dla porządku gospodarki, będące niewątpliwym podwzięciem poetycko - fizjokra- tycznych przekonań. Występuje za- dowolenie z faktu, że poprawiona została natura, zwyciężona „pół niewiedzierność”:

I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi
Uzłtku, co pod strzechą zmieszczać się nie może;
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopie, co wżłuz i wżłuz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów
Orzących weześnie łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, na kształt ogrodowych grządek;
Ze w tym domu dostatek mieszkają i porządek.

Było zatem w przedstawicielej tradycji ideowo - artystycznej uza- sadnienie dla postępowania opisow- ego, które Mickiewicz rozwinięto świetniej od wyprzedzających go polskich zwolenników Delille'a. I kiedy w opisie sadu Mickiewicza za- znacza pożytki wynikające z sadze- nia konopi, kiedy zupełnie po go- spodarku to czyni — postępuje w duchu tej właśnie fizjokratycznej tradycji. Jest w niej źródło jego o-

pisowości wiążące ją z bezpośrednio wyprzedzającym romantyków do- świadczeniem warsztatu opisowego, źródło, z którego zarówno oni czer- pali, jak pseudoklasycy, jak pisarze sentymentalni.

W trojkiej opisowości Mickiewi- cza jako twórcy „Pana Tadeusza” jest to jej pierwsza strona.

3.

Dalszy fragment opisu sadu w wielkim zagęszczeniu gro- madził antropomorfizm. Ant- ropomorfizacja opisu należała rów- nież do programu literackiego Delille'a. Sposób jej przeprowadze- nia przez Mickiewicza nie daje się w swej całej pełni wytłumaczyć tym tylko pro-gramem i doświadczeniem artystycznym.

W cennym i pięknym studium W. Kubackiego „Uwagi nad poetyką „Pana Tadeusza” („Kuznica”, 1948, nr 16) do którego stwierdzeń obec- nie się odwołujemy, autor przypo- mina, że Delille zalecał w „Ziemi- annie” ozywać przyrodę obecnością postaci ludzkiej, a także antropo- morfizować sam opis i zabarwiać go lirycznym akcentem.

Jeszcze dalej poe-ty niech się pomknie śmiałość;
Nlech nawet i w strumieniu, w kwiaty,
Kunszt rymotwórczy duszę urojoną wlewa.
Wszystko podpory temu omamieniu doda.
Patrz, jak ten darń całą tę pieszczącą się wodą,
Jak ta winorośl ścisła wiaż ręką rosną,
Jak ta miłość.

— Ty, wsi malarzu, nadaj życie każdej scenie;
Wystawiaj mi nie martwe i bezładne łany,
Lecz miejsca, którym kochał i gziem był kochany.

„Wzorem poetyki delilowskiej — pisze Kubacki — ozywał Mickie- wicz przedmioty martwe i antropo- morfizował zjawiska przyrody. Weźmy ogródek Zosi w księdze II. Za- nim się Zosia ukaże — czyli mó- wiąc stylem Delille'a, zanim się człowiek zjawi na scenie natury — ogród już został uczciwieczony”. I to w stopniu oczekającym o antro- pomicznej baśniowości Mickie- wiczowskiego opisu: arbuz zostaje antropomorfizowany czterokrotnie. „Jest otwili, ma brzuch, wtańca się na obcy grzęd, jest gościem”.

Dodać wszakże wypada, że pro- gram ten Delille potrafił wysunąć

raczej teoretycznie. We własnej praktyce opisowej realizuje go, on dosyć rzadko, w sposób artystycznie mało wybredny i mało interesujący. Nawet u niego retoryka, górująca nad konkretem, zaciera realność dosyć rzadkich antropomorfizmów.

Spostrzeżenia Kubackiego wska- zują w sposób nie budzący wątpli- wości najbliższą gatunkowo i chro- nologicznie genealogię opisowości „Pana Tadeusza”. Na uboczu pozo- stawiamy stosunek podobnej prak- tyki opisowej do budzącego się i charakterystycznego dla romanty- ków odczucia przyrody dzikiej, nie- ożywionej, pozbawionej śladów człowieka i budzącej wzruszenia o- raz nastroje swoją potęgą, pozbaw- ioną jakichkolwiek ludzkich pier- wiastków. Zaznaczyć jedynie wy- pada, że w tym sensie Mickiewicz jest o wiele mniej romantycznym artystą opisu aniżeli Malczewski, Słowacki czy Krasinski.

Warsztat opisowy wywodzący się z Delille'a wskazuje również na ra- cjonalną podstawę obserwacji po- czynionych przez Przybosa („Pan Tadeusz jako baśń”) na temat ant- ropomorfizmu w Mickiewiczow- skim opisie jako podstawy baśnio- wego charakteru „Pana Tadeusza”. Podstawa ta mieści się w bliskiej Mickiewiczowi tradycji literackiej. Kubacki dostrzega jej niebezpie- czeństwo: „Unikając suchości opiso- wej nie ustrzegł się (poe-ty) mono- tonii kształtowania świata na po- dobieństwo człowieka”.

Nasylenie poematu elementami antropomorficznymi stanowi wynik tego ujęcia, jakie sięgnął daleko w strukturę poematu. Na widok baś- niowej i pospiesznej zmiany pór roku, która dokonuje się w arcyser- wisie Kubacki słusznie zauważa — „że odbija ona jeden z głównych ideałów kulturalnych Oświecenia. Zgodnie z racjonalistycznym dą- żeniem do podporządkowania czło- wiekowi natury, ogrodnictwo XVIII wieku starało się ziemię zamienić w raj przez opanowanie i skojarzanie roślinności wszystkich sfer klima- tycznych. Poe-ty śnił o łączeniu po- wabów różnych pór roku”.

Wioskie podróże Mickiewicza nie zaprowadziły go nigdy na Lago Ma- ggioro i rzucano na jego wody Iso- la Bella, niezapomniane i najczar- rowniejsze wcielenie tego marzenia. Mieszącąc w poemacie kwiaty i z- jawiska różnych pór roku, nie

strzegąc ich klimatycznej ściśłości, Mickiewicz pozostaje w zgodzie z tym baśniowym snem. Chyba dla- tego w „Panu Tadeuszu” kwitnie je- szcze bób, kiedy dojrzała już kapu- sta.

4.

W „Panu Tadeuszu” wystą- piło wszakże takie zagęszcze- nie antropomorfizmów i na- turomorfizmów, że nadało ono poe- matowi nową jakość i nie daje się wyjaśnić tylko na tle tradycji poe- matu opisowego współczesnego twórcy. Poemat ten nigdy nie o- siąga podobnego zagęszczenia. Naj- bardziej radykalne wnioski wysunął przed Julian Przybós w swojej tezie o „Panu Tadeuszu” jako antropo- morficznej baśni.

Już dawno, chociaż całkiem spo- radycznie, dostrzegano wszakże tę stronę poematu. Współczesny poe- ta pisał o arcydziele Mickiewicza miał prawo nie znać swoich w tym względzie poprzedników. Historyk literatury musi to za niego dapo- wiedzieć. Zwłaszcza, że przypatra- ją się dokładniej okolicznościom, w jakich spostrzeżono filozoficzne i etnologiczne składniki warsztatu o- pisowego Mickiewicza, dostrzeć mo- żemy do rzeczywiście, o wiele głę- bzej i istotniejszej warstwy trady- cji artystycznej aniżeli ta, którą wyjaśnia poemat opisowy epoki.

Pierwszym był bodaj autor „Al- khadaru”, Edmund Chojceki w roz- prawie „De l'esprit poetique de la Lithuanie dans l'oeuvre de Mickie- wicz” (1862). Źródłem duchowości poe-ty jest, według Chojcekiego, mi- tologia litewska, traktowana jako system animizowania przyrody po- przez bóstwa reprezentujące jej głów- ne siły. W podobny sposób trak- tować będzie rychieł owo problem nowoczesna etnologia. Dalszym źró- dłem staje się przyroda litewska, skreślona przez Chojcekiego w ry- sach wyraźnie powziętych z odpo- wiednich stron poetyckich i proza- icznych Mickiewicza.

Wyproadażda stąd Chojceki wnio- sek o prymitywnym panteizmie ja- ko fundamentie tłumaczącym Mic- kiewiczowską wizję. Powiada: „W pieśniach staroindyjskich kwiaty, liście, drzewa, chmury, przemawia- ją głosami ludzkimi; poe-ty opisuje te nieożywione przedmioty i przeło- tne zjawiska, jakby one posiadały poczucie swojego istnienia; cała na-

tura wchodzi tutaj w bezpośredni stosunek z człowiekiem; wszystko mówi, żyje i czuje. Jest to rodzaj panteizmu nie wyrozumowanego, lecz żywego, samorzućnego, jaki wynika z moralnej isoty poe-ty. Tylko u Hindusów spotykamy tę o- żywioną koncepcję natury; człowiek nie rozdziera się u nich od bytu, a- żeby obserwować go w postawie zimnego i beznamiętnego widza; wlecia się weń, wchłania go w swo- je tajemne życie, podnosi go ku so- bie i we wzajemnej zgodzie kon- templuje wszechświat.”

Kiedy otwieramy wydaną w roku 1896 rozprawę Świętochowskiego „Poeta jako człowiek pierwotny”, natrafiamy na ślad, który zarówno tłumaczy domysły Chojcekiego, jak pozwala całe zagadnienie pchnąć naprzód. Było nie pozostać przy cał- kiem prymitywnym i pozbawionych zrozumienia poetyckiego warsztatu wnioskach głośnego publicysty po- zytywistycznego. Oto referując teo- rię animizmu, stworzoną przez ów- czesną etnologię, głównie przez E. Tylora, i pytając, o ile przechowała się ona w umyśle cywilizowanej ludzkości, Świętochowski odpowia- da, że nastąpiło to najmocniej w poezji. I najbardziej przekonująco- jący zbiór dowodów odnajduje wła- śnie w opisach „Pana Tadeusza”.

Opis wschodu księżyca w ks. VIII (w. 55—60) z metaforą ziemi jako małżonki, nieba jako męża — po- wiada Świętochowski — zrozumiał- by doskonale Polinezyjczyk, całko- wicie on odpowiada pierwotnym wyobrażeniom animistycznym o przyrodzie. O wschodzie słońca w ks. XI, „Mickiewicz mówi wyobra- żeniami Sumatranina lub Peru- wianczyka”. Anioł zatrzasnąjący drzwi chmur piorunem to — „prze- śliczny widok w stylu kosmogonii pierwotnej”.

Dlaczego właśnie pod koniec mi- nionego stulecia mogła się pojawić podobna teza o Mickiewicz — pa- miętajmy, że ugruntowana wyłącz- nie prawie na „Panu Tadeuszu”? W latach tych, w badaniach i dziełach Tylora, Spencera, Morgana, ustała swój zakres badań, stawia nieprze- dawnione po dzisiaj tezy ogólne, głównie teorię animizmu, nowocze- sna etnologia i psychologia ludów pierwotnych.

Kazimierz Wyka

(Dokończenie w następnym numerze)

Litwo, ojczyzno moja

(Dokończenie ze str. 4 i 5)

skrytki, schowka. Po co chować te księgi? Czy zdołam tu jeszcze wrócić, aby ją zabrać ze sobą do shopu? Ale jakże ją zostawić tutaj? Czy po to, aby ją rozdeptali buciurami, gdy tu powrócą, by skontrolować czy dokładnie oczyściłem tę norę? Byłem bez marynarki, jakże ją więc ukryć? Wsunąłem księgę za koszulę, lecz spod koszuli wyrżał dziwny, graniasty garb. Rozdarłem ją wpół, wzdłuż grzbietu zeszytego kiedyś przez intrygatora i wsunąłem po połowie za pas, do nogawek spodni zwiazanych u dołu sznurkami.

Wydawało mi się, że nie widać schowanych kart i zyskałem na pewności siebie, gdy stwierdziłem, przemierzwszy kilkakrotnie placyk z gratami, że nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Ale oto w chwili, gdy już zyskiwałem spokój, zjawiła się myśl o bezcelowości wszystkich moich zabiegów. Bo po co zabieram księgę? Przecież nie po to, aby ją czytać! Któżby się ośmielił w naszych warunkach sięgać po książkę? Musiałbym się tłumaczyć, skąd ją mam, a gdybym powiedział prawdę, okazałoby się, że przekroczyłem zakaz Brolla. Jakże łatwo mi było zinterpretować mój czyn, aby jego zapowiedź kary, jaką miał wymierzyć nieposłusznym w kamieniołomie, stała się dla mnie realną groźbą. Pozbyć się książki — pomyślałem, pozbyć się jej za wszelką cenę, ale to okazało się niemożliwe. Już było za późno. Mieli mnie ciągle na oku, wydobycie kart nie było łatwe: musiałbym rozwiązywać nogawki, wyciągać z nich gruby plik zeszytych stron... Po co ja to zrobiłem? Żeby hitlerowcy nie deptali księgi? Ależ i tak trzeba ją będzie porzucić byle gdzie i byle jak. Któżby obciążył siebie posiadaniem ukrytej książki?

— Gdzie byliście? — zapytał nauczyciel, gdy późnym popołudniem wróciliśmy do shopu.

— Gdzie? — Byłem przygotowany na to pytanie, lecz mimo to musiałem mieć chwilę czasu, aby się zastanowić. — Gdzie? W kamieniołomie.

— W kamieniołomie? A po co? — Dzwigaliśmy kamienie.

Przeglądał mi się z niedowierzaniem. Po chwili pojąłem, co wyrażał jego wzrok.

— Słuchaj! — potrząsnął mną. — Słuchaj, przecież to tak blisko. Słuchaj, getto jest tuż za kamieniołomem.

— A skąd ja mam o tym wiedzieć? Przecież ja nie znam tych stron.

— Tak — powiedział szepem i pokiwał głową, jakby wyrażał tym niemym gestem ubolewanie. — A nie wyrażałeś stamtąd? Z góry widać getto.

— Młyni nie byli na górze. Nasz trzymali w kotlinie.

— A nie spotkaliście tam ludzi? To tak blisko.

— Nie było nikogo.

— Pewnie źle patrzaleś. A tak cię prosiłem, żebyś mnie puścił. Gdybym ja tam był, już bym sobie poradził.

— Dobrze wiesz, że kontrolowaliśmy. Po co mi to gadanie? Gdyby nas złapali, rozwaliliby. Kamieniołom świetnie się do tego nadaje. Taka pustka wokoło, że aż strach.

— A którędy was prowadzili?

Opisałem nam drogę. Jeszcze pytał o szczegóły.

— Tak, to tam, na pewno tam.

W toku tej rozmowy z nauczycielem połąpałem się, że książką, którą przeniosłem, stała się obecnie obiektem niezmiernie groźnym: ona demaskowała wszystkie moje kłamstwa, wszystkie kunsztowne wybiegi i unikanie pełnych odpowiedzi! Nawet jemu nie mogłem pokazać księgi, bo jak mu wytłumaczyć, skąd się wzięła u mnie? Czy mogłem ją znaleźć w kamieniołomie? Cóż za bzdura! Czy mógł mi ją ktoś wręczyć na ulicy? Ależ to nonsens! W takim razie po co ją zabrałem? Bo teraz okazało się, że gdyby nawet było dość bezpieczne warunki, zezwalające czytać potajemnie, nie umiałbym w żaden sensowny sposób wyjaśnić nauczycielowi obecności tej książki w naszym shopie. Cóż więc zrobiłem dobrego! Wyrzucić ją, ale gdzie? Podrzucić ją komukolwiek? Ależ to graniczyło ze zbrodnią.

Wsunąłem ją do mego siennika spokojnie, gdy byłem w pobliżu, natomiast wówczas, gdy wychodziłem do pracy, nie mogłem opanować lęku. Któż zabroni hitlerowcom, aby któregoś dnia wyrzucili zawartość sieniów, by się przekonali, czy wiezieni nie przechowywają u siebie zakazanych rzeczy?

Mijał dzień za dniem, przez ten czas nie udało mi się nawet przetworzyć księgi. Nie udało mi się to już nigdy.

Któregoś dnia, o świcie znów się zjawił Broll i surowym głosem nakazał, aby nasze komando opuściło pomieszczenia. Patrzyliśmy na siebie pełni niepokoju, targani straszną niepewnością. Co teraz nastąpi? Czyżyb nowa likwidacja jakiegos getta sprawiła, że wyruszymy, aby opróżniać opustoszałe domy? Nie, to nie było to. Kazali nam włożyć buty, zabrać marynarkę.

ki. Czekaj więc nas albo wyjazd, nowy występ w nieznanym mieście, albo zgon od kuli, z dala od ludzi, w pustkowi.

Pozbierałem się szybko, pod marynarkę ukryłem książkę. I nagle pomyślałem, że nie mogłem uczynić nic głupszego. Przecież w bramie, na dole, zrewidują nas, jak zwykle przed wyruszeniem w podróż. Spojrzałem na dawnych mieszkańców shopu gromadzących się w otwartych drzwiach naszych pomieszczeń: stali tam pobladli i milczący. Broll wrzeszczał i przynaglał wartowników, aby nas szybko sprowadzili na dół. Podszedłem do nauczyciela stojącego najbliższej i powiedziałem:

— Weź, to książka. Schowaj, albo zniszcz, zrób co chcesz, bo ja nie mogę jej nosić ze sobą.

Spojrzał na mnie uważnie, o jedną sekundę za długo i poczułem lęk.

— Co to za książka?

— Weź, mówię ci, weź i nie oglądaj tutaj. Co ty, rozumiesz? — Popchnąłem go ku drzwiom. Tamten znikł za nimi i pomyślałem z ulgą, że straci trochę czasu potrzebnego na ukrycie tomu. Broll biegł wzdłuż korytarza i przynaglał nas — Los! Los!

Rusaliśmy powoli ku schodom. Czoło naszej grupy zbliżało się już do pierwszych stopni, gdy nauczyciel pokazał się znowu. Był bladym, szukał kogoś błędnym wzrokiem, wreszcie odnalazł mnie wśród idących i dopadł. Spłoszonemu, gorącym szepem zapytał:

— Słuchaj, skąd to masz?

— Co?

— Książkę.

Schodziłem powoli ze stopni, poprzedzający mnie ludzie również zstępowali stopień za stopniem. Broll czekał o dwa piętra niżej i liczył mijających go ludzi. Urzależniłem go na półpiętrze. Nauczyciel nalegał, jego głos stał się natrączywym, jak wówczas gdy ktoś pragnie natychmiast otrzymać odpowiedź na bardzo dręczące pytanie. A ja nie umiałem mu nic powiedzieć, nie znajdowałem żadnych słów.

— Powiedz, słuchaj, błagam cię, powiedz.

O pół piętra niżej ukazała się asysta policyjna, która obstawiała zstępujących coraz niżej. Wnet mieli się zbliżyć do ostatnich w szeregu. Nauczyciel to zauważył, więc przystanął, a my oddaliliśmy się od niego powoli, stopień za stopniem. Nagle odwrócił się i pobił na górę. Przechylił przez poręcz odnalazł mnie wzrokiem na dole, gdzieś na wysokości pierwszego piętra i znów powtórzył swoje pytanie, tym razem głośno, nadmierne głośno:

— Skąd ty to masz? Ty tam byleś! Ty tam byleś!

Idący unieśli głowy, by spojrzeć ku wołającemu. Ten dorzucił głosem pełnym rozpacz:

— To książka mojej siostry! Mojej siostry!

Broll ryknął ku wołającemu:

— Ruhe!

Tamten nie słyszał może wezwania, bo przechylony przez poręcz ciągle spoglądał na dół i znowu krzyknął:

— Ty tam byleś!

Broll rozbił szereg i przepchnął się przez policjantów stojących wokół ruszył pędem ku schodom. Widziałem jak znikł za pierwszym zakretem, za drugim. Po chwili na górze, obok pobladłej twarzy nauczyciela ściągniętej bólem, przerażonej, zdziwionej, nierozumiejącej ukazała się twarz Brolla.

Stanisław Wygodzki

rzał. Do przeszłości należą kontusze i pióra na czapach i zamki rodowe, ale wszystko co ludzkie, co prawdziwe, co godne istnienia w odnowionym społeczeństwie wchodzi do naszej współczesności. Bardzo dużo mówiło się dawniej o Konradzie Wallenrodzie, koncentrując uwagę na problemie jego maski, jego walki z wrogiem przy pomocy „zdrady”. Mną zaś wstrząsnęła inna strona zagadnienia: temat cierpienia, męki, z którą Alf nosi maskę rycerza Niemieckiego Zakonu. Straszliwa to udręka, podwójna, bo nie połączona z tęsknotą za ukochaną Aldoną. Stąd myśl o szczęściu jakiego daje to, że się jest sobą, że się walczy z otwartą przyłbicą. Przy całej umowności romantycznego dla tego poematu — Mickiewicz, wyposażając go w cechy ludzkie, osiąga zdumiewającą prawdziwość bliska i nam, dalekim od romantyzmu średniowiecza. Strofy, w których Aldona nie chce opuścić dobrowolnie ciemnicy, żeby zachować w pamięci Alfa swój dawny wizerunek z czasów młodości, strofy te i dziś budzą podniecenie, które wywołuje może opowiadanie jak najbardziej realistyczne. Czytałem ten fragment na głos i widziałem łzy w oczach słuchaczy.

Czytając Mickiewicza człowiek znajduje się w stanie nieprzerwanego zachwytu, kiedy przed wzrokiem jego otwierają się coraz nowe perspektywy, nowe skały, przeпаście i szczyty. Zaznajamiasz się strona za stroną z pielgrzymem z „Sonetów Krymskich”, słuchając opowiadania Mirzy o Czatyrdahu można długo i dużo mówić o sonecie „Zegluga”, gdyż każdy szczegół tutaj to niespodzianka. Zamyślenia oddania ruchu statku przy pomocy uczucia, jak gdyby się go samemu posuwało naprzód, nie ma sobie równego, jeżeli chodzi o śmiałość fantastyki i równocześnie o dokładność. Człowiek wchodzi do poezji Mickiewicza jak do pokoju mającego tysiąc luster odbijających się w sobie nieskończoną ilość razy. Tak samo nieskończoną ilość razy odbijają się w nas wizje, wywołane przez poezję Mickiewicza. Każdy obraz stworzony przez poetę ma perspektywę, można o nim myśleć, rozwija on nieskończenie naszą wyobraźnię.

Powiedział nam kiedyś Majakowski: „Rzecz nie w tym, żeby wyszukiwać gotowe ramki dla każdego tematu. To dla poety sprawa nieinteresująca. Dla nas forma to zawsze odkrycie. Chodzi o odkrywianie formy specjalnie dla danej treści”. Sądzę, że Majakowski ma rację, nie tylko, jeżeli chodzi o jego twórczość. Jest to teza słuszna dla każdej prawdziwej poezji, dla nowatorstwa wszystkich epok.

Mickiewicz znalazł dla każdego utworu formę, która zdaje się istnieć tylko dla tego utworu. Taki jest „Konrad Wallenrod”, takie są „Dziady”, taki „Pan Tadeusz”. Żadnego z tych poematów nie można było inaczej zamyśleć, napisać i zbudować, a takie konstrukcje jak kompozycja „Dziadów” przewyższyły nasze najbardziej współczesne osiągnięcia w dziedzinie poematu.

Poezja jest dziś prawie na całym świecie niesłychanie popularna, ma nieograniczone wpływy. Miliony ludzi potrzebują poezji jako instrumentu poznania i działania. Człowiek zwraca się do poety, by znaleźć uczucia i stany, których sam nie potrafi wyrazić i rozumie utwory poetyckie, jako wyraz swoich własnych, nie wyrażonych przez siebie uczuć. Oto przyczyna, dla której poezja staje się tak ważnym elementem dla ludzi, którzy nie zadowalają się samym istnieniem i chcą brać udział w procesie przetwarzania społecznego ustroju.

Dla Kraju Rad charakterystyczny

CZYTAJĄC MICKIEWICZA

(Dokończenie ze str. 3)

jest typ poety, który w imieniu ludu zwraca się do całego społeczeństwa. Najjaskrawszym przykładem tego zjawiska był Majakowski. Określenie „ambasador wiersza” świetnie formułuje sprawę, pokazuje powiązanie poety z jego ludem, jego krajem, ze wszystkimi ludźmi pracy.

Nasi współcześni popełniali często błąd uważając, że podobnych cech nie można znaleźć u poetów przeszłości. Żle szukali u nich perspektyw przyszłości. A były one i są.

Dziś wszędzie ludzie wracają do poetów przeszłości, szukając w nich tendencji humanistycznych oraz uczuć i pragnień idealów bliskich człowieczeństwu współczesnemu. Znajdujemy dla tych poetów miejsce w swojej współczesności. Poeta nie jest skąpy rycerzem. Tworząc klejnoty poezji pozwala korzystać z nich każdemu kto zechce. Każdy może go widzieć.

Ludzie współcześni, dla których poezja jest czymś nieodzownym, z wdzięcznością znajdują w poecie, który żył sto, albo nawet i tysiąc lat temu, człowieka takiego samego, jak i oni, mówiącego żywym głosem o szczęściu i bólu, o spotkaniu i rozłące, o upragnionym pokoju i nienawistnej wojnie, o lepszym, przyszłym człowieczeństwie.

Jeżeli tak będziemy patrzeć na poezję, narodowe właściwości poety nie będą już granitami samotności, lecz granitami przyjaźni. Jeden naród widzi poprzez poetę drugiego narodu to, co oba te narody łączy, zbliża i wzajemnie wzbogaca. Polska poprzez Mickiewicza wzbogaca nas wszystkich, gdziekolwiek byśmy na świecie żyli.

Oblicze Adama Mickiewicza oświetlone jest pochodniami dwóch rewolucji. Francuskiej z roku 1789 i rewolucji roku 1848. Ale nie jest to światło, odbite w zwierciadle. Poezja Mickiewicza sama płonie o-

burzeniem na ciemieńców. Naród polski uciemiężony i znieważony wydawał ze siebie rewolucjonistów gotowych stanąć na barykadach wszędzie tam, gdzie lud szuka swobody. Rewolucyjna nienawiść Mickiewicza do carskiego samodzierżawia jest bliska i nam, Rosjanom.

Ta nienawiść do caratu jest dla nas cenna i przez to, że Mickiewicz nie przerzucił jej nigdy na naród rosyjski. Wielki poeta odgraniczał samodzierżawie od narodu, od jego inteligencji, kochającej wolność, od Puszkina i Ryłiewa. I my możemy przypomnieć sobie nie tylko spotkanie dwóch młodzieńców (Mickiewicza i Puszkina) pod jednym płaszczem, które stało się symbolem przyjaźni i braterstwa dwóch narodów. Możemy wspomnieć również oficera rosyjskiego Nikitę Rykowa przychylnego dla polskich idealów wolnościowych. Mówią o tym liczne strofy „Dziadów”, a zwłaszcza poniższy fragment wiersza „Do przyjaciół Moskali”.

Poznać mię po głosie; pókim był w okuciach, Felzając milczkiem jak wąż, ludzilem despotę, w uczuciach i dla was miałem zawsze gołębia prostotę. Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny, Gorczy wyszana ze krwi i z łez mej ojczyzny, Niech rzze i pali, nie was, lecz wasze okowy.

Strofy te pozostaną klasycznym przykładem stosunku przodujących Polaków do rewolucji rosyjskiej.

Geniusz Mickiewicza przejawia się w tym, że przedstawiając wrażenia ograniczone w czasie, wlewał w nie idee i uczucia, wobec których czas jest bezsilny.

Czytając Mickiewicza w nowych, bardziej udanych niż poprzednio przekładach, porównując je z oryginalnym (sam próbowałem przetłu-

„Pan Tadeusz” po angielsku

(Dokończenie ze str. 3)

zaś wcale ich nie stępując, nasycy je czarem, jasnością i wszystkimi cechami realizmu. Nie ma żadnej zjadliwości w uśmiechu jakim oddarza Telimenę i Rejenta, Wojskiego, Podkomorzego i innych, wręcz przeciwnie, odczuwamy wielką serdeczność poety, umiającego patrzeć na słabości ludzkie. Jesteśmy pod wrażeniem siły talentu, umiającego godzić ludzkie niedoręczności, i pod urokiem bujnej wyobraźni, porównującej swoim bogactwem, spontaniczną żywiołowością i subtelnością.

Elżbietzańskie bogactwo obrazów przejawiających się przez całość poematu, w każdym fragmencie i wokół każdej postaci, bohatersko romantycznej czy też komicznej, zbliża czytelnika angielskiego do „Pana Tadeusza”.

Nawet w przekładzie dzieło urzeka czytelnika siłą i urodą języka. Mimo poetyckiego i lirycznego kształtu poematu, czytelnik widzi pełnię obrazów, ich konkretność, drapieżność i soczystość. Żadne słowo nie jest dla poety ani za proste, ani zbyt wyszukane, bo zawsze trafnie dobrze do obrazu tworzy wizję o jak największej subtelności i precyzji. Za hodzące słońce ma „zdrowe oblicze gospodarza, gdy prace skorfoczywszy rolnicze na spoczynek powraca”, a wokół miejsca pustego przy stole biegają „domysły tysiące, jako po deszczu żabki po samotnej łące”. Migocące słońce, które barwi mgły wiatrem rozproszonym, przypomina ludzi tkających wzorzyste polskie pasy...

Wieszcz na wygnaniu, pozbawiony ojczyzny, wywołuje z swej pamięci wygląd lasów, pól i jezior, maluje je z urzekającą prawdą i pełnią widzenia. Owa skłonność do obrazowania, zamiłowanie w wyliczaniu drzew, ptaków, sprzętów domowych, czy ulubiona przez twórcę gra barw w krajobrazach, to jedna z cech romantycznego poety, tęskniącego za krajem. Ale jest w tym i siła talentu umiającego nadadć pełne życie i konkretność nawet takiej postaci jak Zosia. Jest ona blachą, uroczą cząstką baśni ale otoczona podwójnym płatem, pawiami i gołębiami, które karmi, godna jest flamandzkiego pędzla. I to samo można powiedzieć o Tadeuszu, choć jego postać wzbogacił poeta zażyłością z Telimeną, ukazaną z dobrociwą ironią.

Dokoła tych dwóch romantycznych „figurek” (puppets) jakaś wspaniała komedia obyczajowa, coż za świat niezwykłych kobiet, mężczyzn, szlachty i chłopów! A jeszcze spowiadaający się ksiądz Robak, Żyd karczmarz i ich symboliczne role! Wszystko to stopiła potęga wyobraźni w jedność.

Poroniona byłaby próba wtłoczenia Mickiewicza nawet w tak pojemne pojęcie jak romantyzm. Ta polska epopeja dzięki nurtującej ją prawdzie i sile wyrazu, daje nam wzruszenie jakie można płynąć tylko z czystej klasycznej sztuki. Ta niezawodność i doskonałość pióra zdaje się być rodzic z właściwości mickiewiczowskiego geniuszu, dla których za mało jest określenie romantyzm; raczej płomienny patriotyzm. Prawdziwym bohaterem „Pana Tadeusza” jest Polska. Gdy Mickiewicz maluje tajemnicze głębie puszczy, ma

on na myśli Polskę, nieprzebrane źródła jej siły. Pietyzm Sędziego dla przeszłości, wierność Gerwazego dla wygasłego rodu, sen Klucznika, wszystko to są sny wygnańca z Polski. Róg Wojskiego dmie przez przeszłość i przyszłość Polski. Mówi na przykład Telimena z pewną ironią: „Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba, że im oprócz Ojczyzny nie się nie podobą”, ale poeta podchwytuje jej słowa i podnosi je w górę, do chmur, do jedyniej wiecznej sprawy na świecie.

„Pan Tadeusz”, to pieśń miłości i tęsknoty, wspaniała kompozycja

maczyć na język rosyjski utwory, które chciałem głębiej zrozumieć) może popełnił błąd, przeciwstawny pierwszemu, polegający na bezgranicznym zachwycie poetą, w którego światopoglądzie są oczywiste i słabe strony, poetą u którego istnieją sprzeczności w ocenie epoki, w której żył. Ale nauczył się już ścierać mętne smugi dogmatyzmu z jasnych szkieł wiedzy. Ze stanowiska dogmatyzmu przy ocenianiu Mickiewicza wysuwają się na czoło jego nastroje religijno - mistyczne i niedoskonałość jego idealów społecznych. Kiedy się patrzy na Mickiewicza jasnymi oczyma, wysuwa się naprzód jego głęboko realistyczne, obrazowe pojmowanie przyrody i człowieka, humanistyczny charakter jego poglądów, których postępowość jest nam bliska i dzisiaj.

Będąc materialistami nie odrzucamy czarodziejskich bajek i mitów. Nie trzeba tylko traktować ich zawsze jako część religii, trzeba pamiętać o ludzkiej fantazji, o tym, że zrodzone z religii twory wyobraźni ludzkiej często stają się poezją. Czytając na nowo Mickiewicza, nie chciałem myśleć o tym co było u niego błędem, czy niedoskonałością. Myślałem o doskonałości poezji, która teraz będzie kroczyć od stulecia do stulecia, myślałem o poecie, który w miarę tego jak narody będą zbliżać się do siebie, będzie coraz bardziej kochany. Wielkość Mickiewicza polega na tym, że z nim ludzie czują się jacyś wyżsi, z nim patrzą w dal. Poeci nowej Polski mają z kogo brać przykład, Mickiewicz to szczyty twórczości. Rozumienie tej twórczości podnosi wyżej każdego człowieka niezależnie od tego, gdzie żyje.

Podziękowanie Polsce, która stworzyła Mickiewicza!

Siemion Kirsanow

Tłum. Jacek Frühling

jedności, wizja własnego kraju oddana z pełnią zmysłowego odczucia — to poemat zadziwiający swą doskonałością. W pamięci czytelnika pozostaje trwałe nie tylko imponująca jego wielkość, bogactwo i współczujący humor, nie tylko żywawość jego obrazów, ale głęboka wiara, nadzieja i obraz ojczyzny tak pogodny jak postać boga u greckiego rzeźbiarza.

Storm Jameson

Z angielskiego przełożyła

Barbara Mossakowska

Bo wieszczęm był!...

Z braku miejsca nie zmieściliśmy w numerze mickiewiczowskim następujących wypowiedzi:

1. Głos pań piszących dla dzieci

Cały naród wola,
Zebyśmy pisali
Dla dzieci po szkołach
Nasze madrygały.

A że właśnie nastał
Rok mickiewiczowski
Wolać nas miasta,
Wolać nas wioski.

Piszcie wzorem wieszczę!
Pokażcie lwi pazur!
Wolać nas z Wrzeszcza,
Wolać nas z Mazur.

Wolać z doliny
I z Tatry wola szkoła:
— Piszcie te bredziny...
Wiedźmy! Nikt nie wola!

2. Jankott Rzykant

Muszę przyznać, że z utworów wielkiego Adama, największe wrażenie wywiera na mnie wspaniała pieśń emigrantów zaczynająca się od słów:

„Smutno (mi) Boże dla mnie na Zachodzie...”

Ilu naszych prowincjonalnych geniuszów zdobyło się na tak proste sformułowanie? — Smutno mi Boże na Zachodzie...

Będąc ostatnio w Paryżu odczuwałem absolutnie to samo, co nasz wielki Mickiewicz. Smutno mi było za Rzymem, gdzie byłem przedostatnio.

Wyobrażam sobie, jak nasz Wieszcz wyobrażał sobie odwieczny w Warszawie (oczywiście zupełnie inne od „Odwiedzin” Kruczkowskiego), w której nigdy nie był. Niestety! Warszawa była podówczas piękna, romantyczna, bez zbytecznych ozdób.

A dzisiaj? Jeszcze piękniejsza. Smutno mi Boże.

— Proszę? To nie Mickiewicz? A, Słowacki. Przepraszam bardzo, wykorzystałem na rocznie Słowackiego. Albo na miesiąc przyjaźni polsko-słowackiej.

3. Prof. dr Dogmunt

Ma rację Żółkiewski pisać „Spór o Mickiewicza” i rozbijać hipotezę burżuazyjnej krytyki, jakoby podróży Mickiewicza na Krym była imprezą turystyczną.

Rację miałby niewątpliwie uczony, który by stwierdził, że „Stepy Akermanskie” to zakonspirowany sonet polityczny na temat ewentualnego powstania na Litwie. O jakim „głosie z Litwy” w tym sonecie mowa? Ideowy poeta mógł nasłuchiwać tylko głosu ludu.

Ogromną rację muszę przyznać L. Podhorskiemu - Okolowowi, który dowiódł, że Mickiewicz śledzony przez policję carską musiał ludzią despotę i schematyczną krytykę. Nie daremnie dał do Wallenroda epigraf: „Należy zjeść i lisa i lwa” (Bisogna essere Wolpe e leone).

Nie mają jednak racji ci, którzy twierdzą, że Mickiewicz pisał cokolwiek dla jednej kobiety. Poeta tego kalibru nie popełniał takich błędów politycznych. Np. „Kobieta, puchu marny, ty wietrzna istota...” Jaka kobieta? To Semiramida Północy, czyli krwawy reżim feudalny - obszarniczcy stosowany przez carów z dynastii Romanowów, którzy zresztą prawie że nie byli Rosjanami. Wszak marny puch — to nie innego jak paradoksalna aluzja do ciężkich kajdanów a wietrzna istota to Boreasz, wiatr północny, więc z Sybiru, krainy skądinąd niedocenionej gospodarczo.

A Telimena to co? Tu chodzi o walkę z kosmopolityzmem! A „Dziady”? Sam tytuł stanowi aluzję do stopy życiowej ówczesnych biedniaków i nieświadomych średniaków!

A Zwierz Al-puchary czy to nie walka z alkoholizmem, dżumą i stonką? Ma rację autor niniejszego artykułu twierdząc, że tak.

Czy ktoś rozsądny zawoła, że nie?

Jednym dalek, nikt nie wola.

Przytoczył Józef Prutkowski

Czasopisma Państwowego Instytutu Sztuki

MATERIAŁY DO STUDIÓW I DYSKUSJI — kwartalnik poświęcony ogólnym zagadnieniom teorii i metodologii badań nad sztuką. Prenumerata roczna złotych 48.—
BIULETYN HISTORII SZTUKI — kwartalnik poświęcony historii sztuk plastycznych, w pierwszym rzędzie dawnej sztuce polskiej. Prenumerata roczna zł. 60.—
PAMIĘTNIK TEATRALNY — kwartalnik poświęcony historii i krytyce teatru. Prenumerata roczna zł. 48.—
KWARTALNIK FILMOWY — czasopismo poświęcone teorii i historii filmu oraz krytyce filmowej. Prenumerata roczna zł. 24.—
POLSKA SZTUKA LUDOWA — dwumiesięcznik poświęcony dawnej i współczesnej twórczości ludowej i amatorskiej. Prenumerata roczna zł. 72.—, półroczna zł. 36.—
PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY — dwumiesięcznik poświęcony popularyzacji bieżącej twórczości plastycznej. Prenumerata roczna zł. 60.—, półroczna zł. 30.—
MUZYKA — dwumiesięcznik poświęcony zagadnieniom bieżącej twórczości muzycznej. Prenumerata roczna zł. 48.—, półroczna zł. 24.—
Prenumerata czasopism Państwowego Instytutu Sztuki na rok 1956 przyjmuj się do dnia 10 grudnia br. — płaćówki pocztowe i listonosze oraz wszystkie Oddziały i Delegatury „Ruchu”. K 7388-1

WYDAWNICTWO

„SPORT I TURYSTYKA“

poleca miłośnikom albu artystycznego:

Zdzisław WADOWIŃSKI — Wśród puszczy i jezior, W-wa — 1955, s. 168, zdjęć 136, zł. 43. Bogato ilustrowany cykl reportażu z wyprawy ornitologicznej nad jeziora mazurskie.
Arkady BRZEZICKI — Siła, radość, piękno, W-wa 1955, s. 195, zł. 50. Album ukazuje ekspresję, harmonię i piękno ruchu we wszystkich dyscyplinach sportu.
ZESPÓŁ — VIII Wyścig Pokoju, W-wa 1955, s. 96, zdjęć 250, zł. 14. Kronika wszystkich dotychczasowych wyścigów. Reportaż z wyścigu 1955.
Marian SOBĄŃSKI — Wisła, W-wa 1955, s. 196, zł. 47. Wydańictwo w szeregu pięknych zdjęć i planów graficznych prezentuje królową rzek polskich Wisłę. Album zawiera 20 planów w wykonaniu A. Uńchowskiego.
St. PACACZEWSKI i K. SAYSS-TOBIŃCZYK — Jura Krakowska-Częstochowska, W-wa 1955, s. 160, zł. 30. Monografia albumowa jednego z najciekawszych regionów krajoznawczych Polski.
J. JACOBY, Z. WADOWIŃSKI — Pałac Kultury i Nauki, W-wa 1955, s. 64, zdjęć 66, zł. 6. Wydawnictwo ukazuje piękno i ogrom Pałacu Przyjaźni.
Warszawa, W-wa 1955, s. 48, zł. 4. Prospekt z planem miasta, częścią przewodnikową oraz informacjami praktycznymi.
Wydany w języku polskim, rosyjskim, francuskim i angielskim.

ARTUR MARYA SWINARSKI

Małżonek Maryli

Aleksandrowi Bardinemu

1.

Gdy skończył czytać, wszystkim gościom się zdawało, że jeszcze grają rymy, a to w sercach grało. Wpierw ociekła się młodzież i w dłonie uderzy. Bo najbardziej lubiany był pośród młodzieży. Uklaski im z kanapy gromko odpowiedział. Zielonej, na niej z gęsta stare ciotki siedzą. Znawcy rytm wychwalała, rymów powiązanie. Cieszą się z niezwykłej ich lekkosci panie.

Wtem sama Marszałkowa z fotela powstała i w lot się ucieszyła socyeta cała — Tak, kiedy, uroczyste by głosie kazanie, Na ambonie sędziwy książę Putrament stanie, Dech zamiera w zębanu wiernych i w organie. Marszałkowa wzruszona i pełna radości Tryumfujące oczy obraca na gości.

„Droga Marylu, rzekła, panie profesorze! Więcej niż prosta mowa wiersz dokazać może. Wiesz z tych rymów, czego nie poznałam z miny, Ze masz i taisez inne, wiem, jakie przyczyny. A z rumieńców mej córki, gdy je pilnie badam, Widac, że obojętny nie jest jej pan Adam, Ze żyjąc w tym szlachty gronie, panów tytu, Wybrała profesora — więc wez go, Marylu. Choć pan pono Woltera zna w oryginalu, Tu pogroziła palcem, lecz bez gniewu wcale, „Tak jak ja dzisiaj w tobie pozyskałam syna, Niech Polska kiedys zyska drugiego Ursyna — I musisz nam tak słuczne wiersze komponować, Iżby je w kalendarzu można wydrukować“, To wyrzekłszy sciskała córkę i Adama.

Choć inne prognozy rozgłaszała fama Względem Wersczakówny — że zmieniono szyki, Goście szybko pojeśli. Brzmiały zewsząd okrzyki, Zyczenia, gratulacje...

Tak wiwatowali,

Aż pani do stołowej poprosiła sali, Jak barwne kwiety trawnik wszyscy stół obsiedli, Miod pili i ochroszkie ruską żwawo jedli. Ptem była wątrołka na modę Nelsona, Pyszna, choć korsarz Nelson szczeni Napoleona. Po mulach z boraelem, smardzacz i korusze, Wnieśli sponzor cielię w strogonowickiej juszce, Szalotkowej i pieprznej na masie utartem, Choć Strogonowie też się bili z Bonapartem. Wreszcie dyszek soczysty, mioda baranna W polewce Talleyranda z trufli i wegrzyzna; Chciał zdradzał Talleyrand i Korsykanna, Nie gardono przez księdza wymysłomym sosem: Perduły w nim piywają i uszka z podcoszem. Na wety krem podano, właśnie wculiła w modę, Koszyna barwiony pudring Nesselrode; Pan minister co prawda wolność im wypienia, Lecz smakował Litwinom krem jego imienia Lepiej niż swojski kisiel, niż baba ponczowa, Blamanie i merengi.

Pani Marszałkowa

Nie spuszczała spojrzenia z Adama i córki I młodym przysuwała z talerzem ogórki.

2.

Po ślubie został Adam i żona Adama W dworku Tuhanowickim, bo tak chciała mama. Jak to lipy, co wonność rozlewa wokół Wielkiej stolicy, pszczoła przylata za pszczołą. Z odległej o trzy wiorsty zwabione pasieki, Dla zdobycia nektaru choć kropelki lekkiej — Tak niejedna z daleka przywoziła bryka Damy co chcą wyblagać wiersz do imionnika. Pan Adam ma dla każdej i uśmiech i rymy, Wierszycami sąsiadki obdarzał sławnymi Po całej okolicy — wszędzie były znane I przez młodzież litewską na pamięć umiane...

Trafem Adam wydobyl rękopis z szuflady; Na karcie tytułowej wypisali, błady Jak dalekie wspomnienie, napis widniał: „Dziady“, Adam czyta; na nowo ożywiają chwile Gdy dusia go Hydra — zardrość o Maryle... „Biogostawione życie w małym, własnym domu“ Przeczytał i wykreślił słowa po kryjomu.

Już rymów nie dobiera, już zgłosek nie składa. O kłopotach i kłeskach z ekonomem gada; Chwast niszczy dziecielinę — co go się rozkopie, Znow wschodzą, taka siła w natrętnym świerzopie; Cukrownia jak stanęła, już nie rusza więcej; I proces z Putkamerem o dziesięć tysięcy... Wszyscy mówili, że mu czegoś nie dostaje, Że coraz osobliwsze miewa obyczaje. Choć zgorzkniał pan Mickiewicz, przeciw jego imię Wymawiają z szacunkiem, u wszystkich w estymie, Bo dziełnie gospodarzy, fortuny nie trwoni, Od niemądrych nowinek politycznych stron I dobry jest dla chłopów, ludzki dla sąsiadów.

Kiedys w nocy bezsennej znow zajął do „Dziadów“, Rozmowy z księdzem czytał ulamkowy opis, Potem westchnął i podarł, i spalił rękopis.

3.

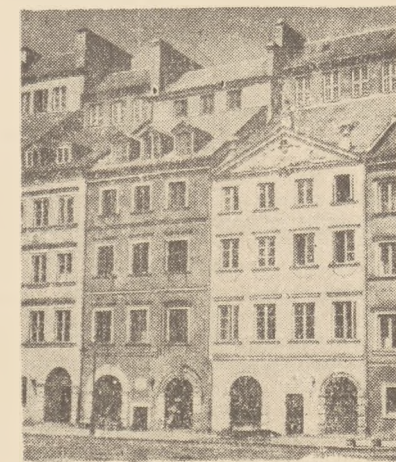
O roku ów! Kto by cię widział w naszym kraju Takim, jak się stałeś? Rokiem urodzaju Solennych akademii, portretów, plakatów, Laurek wierszowanych, rozpraw i dramatów, Które do stóp Koledze Koledzy złożyli. Gdyby poeta został małżonkiem Maryli, Nie byłoby wszystkiego, czegośmy dożyli:

Nie byłoby w Warszawie Bardinemu „Dziadów“ Ni Kreczmara o „Dziadach“ czterdziestu wykładów, W niewinnym Nowogródku wizyty Stuckiego, Ni „Ballad i romansów“ — tych Maliszewskiego.



Wiemy: Mistrzynie Historia nie pozwoliła największemu poecie Polski przebywać na ziemiach Rzeczypospolitej Ludowej, wyjąwszy krótkie miesiące pobytu w Wielkopolsce. Do Warszawy Mickiewicz przybył po raz pierwszy w końcu lipca 1953 roku i zamieszkał... — no, z tym mieszkaniem nie poszło od razu tak łatwo. Krótko mówiąc, Wieszcz został zameldowany w stolicy najpierw na pobyt okresowy i dopiero teraz, w połowie listopada Roku Jubileuszowego, dwie kamieniczki na Rynku Starego miasta po stronie Barssa szukają się na godne przyjęcie Gościa, który zamieszka tu już na stałe.

25 listopada nastąpi uroczyste otwarcie Muzeum Adama Mickiewicza. Teraz pachnie tu świeżą farbą, słychać zwykły gwar gorączki — *in statu nascendi!*



Rynek Starego Miasta

kowej roboty. Za tydzień będzie wszystko zapięte na ostatni pietystycki guzik — dziś zacie Kierownictwo ledwie toleruje natrętnego dziennikarza. Chwałaż Mu i za to! Kustoszu Działu Dokumentacji, mgr Maria Kapuścińska, pracująca od chwili powstania Muzeum ma — dosłownie — pełne ręce roboty; Adam Mauersberger, komisarz wystawy, onże autor scenariusza, jest rozrywany przez plastyków, interesantów i — telefon. Osemnastu stałych pracowników liczy dziś Muzeum i wszystkich spala gorączka przygotowań. Innych, zaangażowanych czasowo przed otwarciem — ditto.

Nie przekładajmy więc zapracowanym, lecz przedziśnią się po pustych jeszcze salach Muzeum. O czym tu dumać na... froterowanych posadzkach, pod belkowanymi stropami gotyckich kamieniczek? Ano, może najpierw właśnie o tym, jak będzie się czuł „śpiewak Litwinów“ w gotyku?

Dalej, bryto, z posad świata! — i zwarte, grube mury, cmiące światła Starówki. Bieg myśli do granic Stwórcy i natury — i skrzypiące, ciasne schody stromo narosłych pięterek. Panatadeuszowe puszcze, gaje, gonitwy obłoków — i wążutki skrawek widoku na Wisłę, który zginie, kiedy na tyłach Muzeum wstaną z gruzów domy Brzozowej...

Ten jedyny w dziejach władcy pochód genialnej myśli i wyobraźni przez całą Europę — przez stępy Akermanu i salony Petersburga, pracownie Dreznia, Paryża i Lozanny, drogi legionu wiośkiego i samotną śmierć za wschodnim krańcem kontynentu — wszystko to ma się zamknąć tu, w niskich pokoiach warszawskich mieszczańskich sprzed pięciu wieków? Doprawdy, bardziej swojsko dziś Puszkiński w empirowych pałacach muzeów radzieckich!

Nie wiem, czy można traktować obecną siedzibę Mickiewicza w Warszawie, mieście klasycznych pałaców zajętych na biura, jako wciąż jeszcze tymczasową — wiem jednak, że nie mogli się wahać pracownicy Muzeum, kiedy po dwu z górą latach tułaczki, po kilkunastu przeprowadzkach, przetrzucani ze swymi zbiorami z miejsca na miejsce, przytuleni ostatnio na prawach ubogich krewnych przez Muzeum Historyczne w zatłoczonym domu „pod Murzynkiem“, stanęli wreszcie w roku 1953 wobec możliwości rozlokowania się w dwu — o szczęście! — własnych kamieniczkach po stronie Barssa. Kamieniczki były zresztą jeszcze nierogotowe, ale „stań się — stało!“ Dyrektor Semkowicz przemówił osobście do budowniczych Starówki, którzy z pełnym zrozumieniem przyjęli apel o przyspieszenie pracy. Dzięki temu Adam Mickiewicz stał się jednym z pierwszych lokatorów pierwszej odbudowanej części Starego Miasta i w końcu lipca 1953 można już było otworzyć wystawę, określoną zresztą z góry jako tymczasową, która oznajmiła społeczeństwu początek nowego etapu pośmiertnych dzieł poety. Jednocześnie zaczęły się przygotowywania do właściwego uruchomienia Muzeum Mickiewicza w stulecie śmierci.

Nie chodziło tylko o możliwe bogate wyposażenie zbiorów, o wymowną ich ekspozycję — chodziło o koncepcję instytucji, która nie ma w Polsce precedensu. Przeciwnie, jest wydarzeniem aż podwójnie u nas niezwykłym: jako pierwsze pol-

skie muzeum monograficzne i pierwsze polskie muzeum literackie.

Narodziny koncepcji dokonywały się, rzecz można, w ogniu praktyki: wśród wielu czynności, dzięki którym warszawskie zbiory mickiewiczowskie są dziś najbogatsze i najlepiej opracowane w Polsce — i... n a d a l s i ę d o k o n u j a, choć główne jej zarysy są już widne, oczywiście i nawet ujęte statutowo. Trzeba bowiem stwierdzić fakt niewątpliwy: choć początki Muzeum sięgają zamierzającego roku 1950, choć szereg osiągnięć inwentaryzacyjnych — naukowych trojęk pierwszych — łącznie z dyr. Semkowiczem — pracowników zapisano w kronikach już pod datą 1951 — w roku 1955 (od lutego pod dyktando Leonarda Podhorskiego-Okołowa) Muzeum Adama Mickiewicza znajduje się wciąż jeszcze *in statu nascendi!*

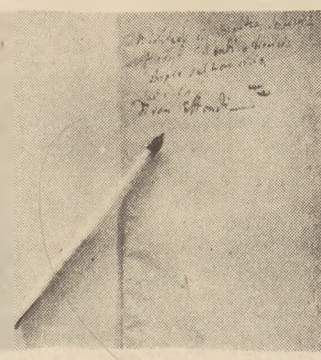
Jego działalność nie będzie się przecież ograniczać w przyszłości do gromadzenia zbiorów: autografów, pierwodruków, ikonografii, dokumentów i pamiątek mickiewiczowskich. Ani do prac popularyzacyjnych z zakresu wiedzy o Mickiewiczu. Ani tylko do kompletowania biblioteki, której fundamentem są pięknie utrzymane bogate zbiory prywatne pierwszego Dyrektora Muzeum (po niespodziewanej śmierci Aleksandra Semkowicza z lipca 54 mają być teraz zakupione od rodziny).

Muzeum ma słuszne ambicje stać się placówką naukową: warsztatem pracy badawczej, centrum wiedzy o życiu i twórczości Mickiewicza. Warsztat — a więc lektorium, pracownię. Ośrodek badań — więc planowe prace naukowe, więc własne publikacje, może periodyczne. Jako pierwsze mogłyby wyjść np. dziennik Heleny Szymanowskiej, córki Marii, późniejszej Franciszko-wej Malewskiej, czy dotycząca Adama część korespondencji Władysława Mickiewicza, pochodzącej z daru Marii Mickiewicz, wnuczki Poety zmarłej przed kilkoma laty w Paryżu.

Nawiasem mówiąc, w związku z tymi perspektywami przychodzi na myśl pytanie, czy Muzeum najszczęśliwiej ulokowano w „pionie“ CZM i Ochrony Zabytków? Czy jego specyfika i — przyszłość nie kazaby raczej poddać go — i innych muzeów pisarzy, które powstają — opecie jakiegos nie istniejącego dziś jeszcze wydziału dokumentacji Instytutu Badań Literackich PAN, uplasować więc w „pionie“ nauki? O ile wiem, taką właśnie strukturę organizacyjną mają radzieckie muzea literackie, z których doświadczeń winno korzystać Muzeum Mickiewicza, pamiętając zresztą i o swej pewnej odrębności (o której będzie jeszcze mowa).

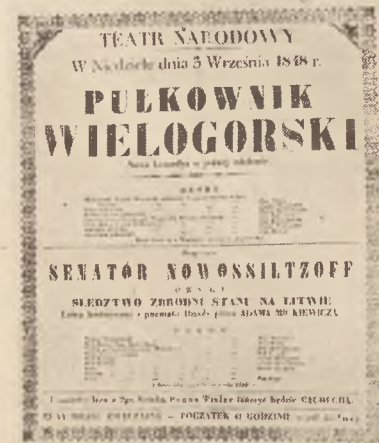
Zagadnienie koncepcji zresztą na tym się nie kończy, sięga dalej. Powiedzmy po prostu: od jego rozwiązania zależy zasób zbiorów — więc ich użyteczność — więc z kolei sam cel i sens Muzeum. Zaraz to wyjaśnię. Większość rękopisów i pamiątek mickiewiczowskich znajduje się w Paryżu. Te, które mamy w Polsce, przechodziły różne koleje losu i dziś rozparcelowane są w wielu zbiorach, przede wszystkim w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu i Kórniku. Pytanie brzmi: utrzymać stan parcelacji czy skupić zabytki w Muzeum Mickiewicza? Pytanie zasadnicze. Nie tylko budzi ono wątpliwości naukowe i organizacyjne, lecz także porusza namietności posiadaczy, a raczej aktualnych zarządców zabytków. Czy np. znany petersburski portret Poety pędla Oleszkiewicza ma zostać w Muzeum Narodowym w Krakowie, dokąd nikt specjalnie dla niego się nie wybierze i gdzie ginie on wśród eksponatów niemieckiewiczowskich — czy też winien znaleźć się na Rynku Staromiejskim w Warszawie, gdzie go zobaczysz tysiące, które tu przyjdą właśnie do i dla Mickiewicza? Takich problemów jest wiele.

Sądząc, że sprawę należy postawić tak: Nie ma potrzeby skupiać w Muzeum Mickiewicza wszystkich rękopisów Poety. Niech więc „Pan Tadeusz“ zostanie w „Ossolineum“, choć zawiody go tam losy raczej przypadkowe. Niech autograf III części „Dziadów“ (kopia sporządzona przez Autora dla Kładyny Potockiej) nadal oświecni zbory kórnickie. Dla potrzeb Muzeum warszawskiego wystarczy, jeśli obok trzeciego wielkiego rękopisu, jaki mamy w Polsce: „Korybuta, księcia Nowogródka“ (tj. II wersji



Notes i pióro Poety

„Grażyny“) będą w nim naturalnej wielkości fotokopie oryginałów — podobnie zresztą jak fotokopie rękopisów znajdujących się za granicą. Mniej więcej to samo dotyczy mniejszych rękopisów poetyckich listów, notatek etc., o ile u obecnego posiadacza mają one dobre zabezpieczenie i właściwe warunki konserwacji.



Afisz pierwszej reprezentacji sceny z „Dziadów“ w Polsce (Kraków 1848)

Ale ikonografia? Ale pamiątki — których w żadnym stopniu nie oddaje fotografia? Te, sądzę, winny w oryginałach i w komplecie znaleźć się w Muzeum warszawskim, z wyjątkiem przedmiotów związanych blisko z określoną miejscowością, np. ze Śmiełowem w Wielkopolsce, gdzie Mickiewicz przebywał w r. 1831. Bez tej decyzji — określonej wyraźną ustawą, którą np. już w marcu 1951 zapowiadał min. Sokorski — nie można tworzyć muzeum tematycznego. Tak, zasada utrzymania stanu parcelacji praktycznie u n i e m o ż l i w i a wyposażenie Muzeum, jeśli ma ono być istotnie centrum kultu i centrum wiedzy o Poezie. Dowód: już na wystawie inauguracyjną musiano pożytyć do Warszawy szereg eksponatów, niezależnie od innych, które Muzeum dawniej przejęło w depozyt. Myślę, że pracownicy „zagrożonych“ placówek winni doprawdy wykażać mniej — szlachetnych skądinąd — uczuć partykularno — patriotycznych, więcej zaś zrozumienia potrzeb społeczeństwa i... afektu dla Poety. Związka za ich ugruntowane w przeszłości prawa posiadaczy oparte są wielokrotnie na szczególnych okolicznościach i zaiste wiotkich przesłankach. Tak np. niewątpliwą prawdą jest, że w latach osiemdziesiątych ub. stulecia Władysław Mickiewicz sam ofiarował Muzeum Narodowemu w Krakowie pewne dary (część ich jest dziś w Warszawie w depozycie), ale... komu miał je wówczas ofiarować? Placówce pod zaborem carskim, gdzie Mickiewicz był zabroniony? Kraków, a w nim Muzeum Narodowe były wówczas jedynym w kraju godnym społecznym odbiorcą pamiątek po Adamie. Nie było jeszcze specjalnego Muzeum Mickiewicza! Czy, ktośkolwiek może wątpić, że gdyby ono wtedy już istniało, do niego właśnie skierowałyby swój dar syn Poety?

Ta argumentacja dotyczy nie tylko wspomnianego przypadku. Ale nie tu miejsce na szersze wywody w tej sprawie, zwłaszcza w uroczystej atmosferze inauguracji. Zamiast o tym, co powinno być jeszcze w Muzeum Mickiewicza, powiedzmy raczej choć w skrócie, co już zdołano tam zgromadzić: rękopisy — z najcenniejszym „Korybutem“ na czele; wiele pierwodruków i materiałów historycznych z lat Poety; b. cenne zbiory ikonograficzne poczynione od portretu Wańkowicza z r. 1823²⁾ i jego obrazu „Mickiewicz na Judahu skale“ z 1827-8, a skończywszy na brzoje Władysława Oleszczyńskiego z r. 1856 i obrazie Rodakowskiego z 1857 — m. in. jest tu i medal Borela przedstawiający trzech profesorów Collège de France: Mickiewicza, Micheleta i Quineta, i brzoje odlew popiersia Dawida d'Angers; pamiątki: jak świadectwo dojrzałości Poety z 10 lipca 1815 r., różne drobniaki należące do Mickiewicza: notes, pióro, tabakierka, czerwony sztafander z orłem, ofiarowany Poezie przez młodzieńca polską w roku 1848. Po śmierci Marii Mickiewicz, zgodnie z jej życzeniem, Muzeum otrzymało wiele listów i pamiątek, lecz przeważnie pochodzących od Władysława Mickiewicza i jego rodziny. Wśród nielicznych przedmiotów związanych na pewno z Adamem najcenniejsze są meble, które znajdowały się w jego mieszkaniu paryskim: rzeźbiony kufer, pamiętający jeszcze czasy wileńskie, krzesło z okresu mieszkania w Arsenale, sekretiera — dar Wierzy Chlustin. Były tu także dwa portrety Marii Szymanowskiej: Kukulara i Oleszkiewicza. Wszystkie te eksponaty, i oczywiście wiele innych, zobaczymy na wystawie Muzeum.

W y s t a w a — toż dopiero temat do rozważań! W przeciwnie-

2) Jakie wykazało np. Muzeum Narodowe w Warszawie, przekazując Muzeum A. Mickiewicza zbiory ikonograficzne i bibliofilskie L. Meyera.

3) Depozyt Muzeum Narodowego w Krakowie.

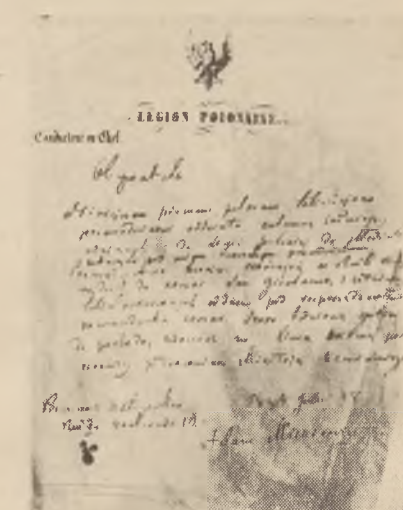
stwie do muzeów radzieckich. mie- szających się zazwyczaj w domu lub lokalu, który sam jest zabytkiem, bo w nim mieszkał lub przebywał uczczony pisarz (tak jest z Puszkino-Carskim Siołem, z muzeum w Jasnej Polanie, „muzeum-kwartir“ Puszkina i muzeum Niekrasowa w redakcji „Otiestestwennych Zapisk“ w Leningradzie, z moskiewskimi muzeami Tołstoja, Majakowskiego i Ostrowskiego, muzeum Czechowa na Krymie, saratowskim muzeum Czernyszewskiego itd.) — w przeciwstwie zatem do muzeów radzieckich Muzeum Mickiewicza mieści się nie tylko w budynku, lecz i w mieście, gdzie nigdy nie stanęła Jego stopa. Wnętrza nie można tu urządzić tak, jak wyglądało za życia Poety. Więc jak? Ekspozycja łączyć musi wątki: biograficzny i problemowy to pewne. Ale w jakiej proporcji, w jakim układzie? Jaka ma być rola scenariusza? Jak dalece dopuszczalna jest ingerencja autora wystawy, moment interpretacji, udział materiałów historycznych, nie związanych z Poetą osobicie — ba, nawet materiałów ilustracyjnych opracowanych dziś?

I najważniejsza: „dokument“ czy „wykład“?

Chodząc po pustych jednastu salach wystawy nie widzę jeszcze odpowiedzi na te pytania. Ale na podstawie rozmowy z autorem scenariusza mogę już przewidzieć kierunki dyskusji. Bo dyskusja będzie na pewno, może nawet gorąca. Koncepcja wystawy jest osobista — tego Adam Mauersberger nie kryje. Jest oryginalna — *vide* zresztą już afisze uliczne — fotografie pierwodruków sześciu wierszy (w ten sposób poezja dosłownie sięgnie bruku!). Wydaje mi się śmiała.

Jej zasady brzmią: 1) działamy formą plastyczną, 2) jako komentarz służy nam przede wszystkim tekst Mickiewicza, 3) szeroko uwzględniamy twórczość.

Ad 1: wystawę opracowują graficznie inż. Tadeusz i Janusz Błażewscy, stosując śmiało pomysły plastyczne. — Ad 2: wzdłuż ścian wystawy biec będą fragmenty wierszy, artykułów i listów, mówiące słowami własnymi Poety, rzadziej innych postaci historycznych, o miejscach, ludziach, wydarzeniach, utworach przedstawionych tuż obok w eksponatach lub ilustracjach. — Ad 3: udział materiałów „niemieckiewiczowskich“ jest siłą rzeczy dość znaczny. Tak np. w okresie Nowogródka znajdują się eksponaty obrazujące ludowy folklor nowogródzki i akwarele Orłowskiego, które przedstawiają życie drobnej szlachty na przełomie XVIII i XIX wieku; w sali „Pana Tadeusza“ wystawione będą m. in. uniformy



Pismo Mickiewicza z okresu Legionu Polskiego we Włoszech

Księstwa Warszawskiego i — Zaliwczaków (ilustracja tekstu i sugestia problematyki aktualnej); w sali roku 1848 zobaczymy historię Wiosny Ludów w 8 planszach akwarelowych Antoniego Uniechowskiego (l) itd.

Czy się to wszystkim sposobem? Czy wszyscy to uznają? Oj, czuję już nosem niedalekie starcia! Ale to chyba dobrze, że w Muzeum pokazany będzie Mickiewicz żywy, nie zmumifikowany, zmuszający do wyrażenia swego stosunku, budzący spory. Człowiek — nie brzo.

Swoje zdanie wypowiemy po obejrzeniu wystawy. W tej chwili mogę tylko teoretycznie aprobować same jej założenia. Chcą one maksymalnie zbliżyć Poetę do widzów-czytelników, jak najbardziej ułatwić jego zrozumienie i poznanie. A stwierdził już jeden z „przyjaciół Moskali“, Ksenofont Polewoj, w swych „Zapiskach“, że „kto tylko poznał z bliska Mickiewicza, ten go pokochał nie jako poetę, ale jako człowieka niepospolitego zalet duchowych, który pociągał ku sobie wzniosłością poglądów, olbrzymią wszechstronnością wiedzy“.

My do tego wyznania dodajmy: „nie tylko jako poetę“, a otrzymamy motto godne wystawy i godne całej działalności Muzeum Mickiewicza — którego inaugurację w setną rocznicę śmierci Poety witamy z nadzieją i radością.

I któremu życzymy dobrej, owocnej pracy.

Zbigniew Wasilewski